

DAY LECLAIRE

**Tymczasowy
mąż**

scandalous

PROLOG

Towson w stanie Maryland

Wynne Sommers z zamyśloną miną siedziała na podłodze swojego mieszkania. Wsparła podbródek na ramię i ściągnęła brwi.

- Czy, wiesz, Lauro, czego mi naprawdę potrzeba?

- Oczywiście, że wiem - parsknęła jej przyjaciółka, wkładając ubrania do dużego pudła. - Potrzeba zbadać ci głowę, skoro nie wywietrzyłaś z niej ten idiotyczny pomysł.

- Nie... tak naprawdę to potrzebuję rycerza w lśniącej zbroi. Opiekuna.

Laura odsunęła karton na bok i zerknęła na przyjaciółkę.

- Wielkie nieba! Czemu od razu nie zażyczysz sobie księcia z bajki, pałacu i miliona dolarów? To równie realne. - W rozpaczy załamała rękę. - Kobieta zdolna poślubić nieznanego mężczyznę nie dostrzeże rzeczywistości, nawet gdyby ta kopnęła ją w ...

- W co, przepraszam? - spytała rozbawionym głosem Wynne.

- Mniejsza z tym - mruknęła Laura. - Czemu ja się właściwie przejmuję?

- Bo się o mnie troszczysz - uśmiechnęła się Wynne, wcale nie dotknięta obcesowością przyjaciółki. - Wiem wszystko na temat rzeczywistości i logicznego postępowania. Ponieważ to nie poskutkowało, muszę spróbować innej metody.

- Wiem - przyznała ze skrucą Laura. - Jednak wychodzić za kogoś zupełnie nieznanego...

- Właśnie. Skoro zamierzam poślubić nieznajomego, to może trafi mi się taki, o jakiego mi chodzi?

- To czyste szaleństwo. Sama prosisz się o kłopoty. - Laura popatrzyła na przyjaciółkę z wyrzutem. - Nie rób tego, proszę cię. Musi być jakieś inne rozwiązanie.

- Wiesz dobrze, że nie ma - powiedziała zdecydowanie Wynne. - Straciłam pracę, mieszkanie i zostałam bez pieniędzy. Zostało tylko to wyjście. Uda się, zobaczysz.

- Co to znaczy, że zostałam bez pieniędzy? - nasrożyła się Laura. - Gdzie się podziały twoje oszczędności?

- Co do grosza wydałam je na bilet wstępu. Musiałam. To jedyny sposób, żeby znaleźć męża przed końcem miesiąca.

Zapadła długa cisza. Wynne wiedziała, że naraziła się przyjaciółce, ale nie miała wyboru. Gdy dowiedziała się o Balu Kopciuszka, zrozumiała, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Już samo to, że zauważyła ogłoszenie, było cudem. Przeciąg porwał ze stolika gazetę zostawioną przez klienta w restauracji, w której pracowała, strony rozsypały się po podłodze i... zobaczyła właśnie to: mały, elegancki anons przyciągnął jej wzrok i zaoferował szansę na zmianę życia.

„Bal Kopciuszka. Odkryj romans. Spotkaj księcia z bajki. Poznaj kobietę swoich marzeń. Bal Kopciuszka daje możliwość natychmiastowego zawarcia małżeństwa. Przyjdźcie na bal samotnie i wyjdźcie stąd jako nowożeńcy”.

Znalazła numer telefonu, pod który zadzwoniła jeszcze tego samego wieczoru. Bilet wstępu kosztował krocie, ankietka była drobniawa i wnikliwa. Wynne przeszła jednak cały wymagany proces kwalifikacyjny, bo dostała zaproszenie na bal.

Podeszła do obdrapanego stołu w drugim końcu pokoju i popatrzyła na grubą poślacaną kopertę, którą położyła na pamiętającym lepsze czasy porcelanowym talerzu. Dziś właśnie przyniósł ją posłaniec w liberii wraz z bilecikiem następującej treści:

„Henrietta i Donald Montague życzą powodzenia w poszukiwaniu małżeńskiego szczęścia”. Chwyciła głęboki oddech i ponownie otworzyła kopertę, wydając ze środka białą, aksamitną sakiewkę. Z szacunkiem przesunęła koniuszkami palców po aksamicie, po czym wysunęła z przegródki zdumiewająco ciężki pozłacany „bilet”. Na metalową sztabkę padło światło wiszącej pod sufitem żarówki i błysnęła niczym żywa, napełniając pokój obiecującym, złotym blaskiem. Wynne wiedziała już, że podjęła właściwą, jedyną w tej sytuacji decyzję. Dotyk grawerowanej sztabki upewnił ją w tym przekonaniu.

Laura stanęła obok przyjaciółki.

- Tak mi przykro, Wynne - powiedziała. - Nie chciałam ci dokuczyć. Po prostu... martwię się o ciebie. Nie zawsze widzisz ludzi takimi, jakimi są i boję się, że cię ktoś w końcu wykorzysta.

- To kolejny powód, dla którego powinnam wyjść za mąż. Małżonek do tego nie dopus'ci.

- A jeśli to on cię wykorzysta?

- Nie wyjdę za takiego człowieka - rozes'miała się wesoło Wynne. - Dlatego właśnie wybieram się na Bal Kopciuszka. Mężczyzna, którego znajdę, będzie wyjątkowy. Dobry, łagodny, cierpliwy i kochający... - Uśmiechnęła się marzycielsko.

- No jasne, rycerz w lśniącej zbroi. Obrońca.

Wynne zmarszczyła brwi.

- Wiem, że kobiety nie powinny potrzebować ochrony. Nie powinny nawet o tym marzyc. Czy sądzisz, że będzie miał coś przeciwko temu? To nie potrwa długo. Tylko do chwili, aż pani Marsh przestanie się tym interesować.

- Chyba nie zamierzasz go o tym poinformować? - spytała Laura. - Nie o wszystkim?

- To zwykła uczciwość.

Laura położyła przyjaciółce dłonie na ramionach i odwróciła twarzą do siebie.

- Posłuchaj, moja droga. Zgadzą się na ten zwariowany plan, nawet jestem gotowa ci pomóc. Pod jednym Warunkiem.-

- Tylko jednym? - droczyła się Wynne.

- Jedynym. Nie powiesz mu prawdy aż do chwili, kiedy będzie już poślubię.

- Ale...

- Przypomnij sobie, co się stało, kiedy Brett dowiedział się o wszystkim. Zerwał zaręczyny.

Wynne skrzywiła się.

- Okazał się zupełnie innym człowiekiem, niż mi się na początku wydawał.

- Podobnie jak Jerry i Kevin. Dali nogę w tej samej chwili, gdy poznali prawdę.

- To znaczy, że w dzisiejszych czasach trudno o rycerzy.

- Też tak uważam. Posłuchaj więc mojej rady: znajdź' sobie tego rycerza, weź z nim ślub, zaciągnij go do łóżka, a dopiero potem powiedz mu prawdę. Nie dasz mu co prawda wyboru, ale pomożesz sobie.

Wynne niechętnie pokręciła głową.

- Nie umiem kłamać. Wiesz o tym.

- Świetnie. Zatem nie wprowadzaj go w szczegóły. Udzielaj mętnych, wymijających odpowiedzi. Wiem, że to potrafisz. Doświadczyłam tego nieraz.

- To wskutek roztargnienia - wyjaśniła Wynne. - Naprawdę nie umiem kłamać.

- Wcale nie proszę, żebyś kłamała. Uważaj tylko na to, co mu będziesz mówiła. Wcale nie żartuję, Wynne. Daj słowo, że nie puścisz pary, do chwili aż pierścionek znajdzie się na twoim palcu.

Wynne zachmurzyła się, niechętnie postępując wbrew swej naturze.

- Obiecuję, że nic mu nie powiem przed s'lubem... Chyba że mnie spyta. Czy to ci wystarczy? - Uniosła brwi.

- Chyba będę się musiała tym zadowolić - westchnęła Laura.

- Miejmy nadzieję, że twoje blond włosy i wielkie zielone oczy sprawią, że nie będzie zadawał zbędnych pytań.

- Na pewno się uda, zobaczysz - pocieszała ją Wynne. - Przy odrobinie szczęścia on również nie będzie zbyt wylewny.

Chesterfield w stanie Teksas

Jake Hondo popatrzył na swojego adwokata, a zarazem najlepszego przyjaciela. Jedyne.

- Mówiłeś mi, że owo zastrzeżenie w testamentie da się obejść - rzucił wściekłym tonem, szarpiąc masywnymi, dębowymi drzwiami, na których widniał napis: „Dodson, Dodson i Bryant, doradcy prawni”.

Peter Bryant wzruszył ramionami. Za swoim klientem ledwo nadażał truchtem.

- Nie spodziewałem się, że twój kuzyn podważy testament. Gdyby nie chodziło o Randolfa, sędzia pewnie przymknąłby oko na ten warunek. Teraz to już niemożliwe. Przykro mi, Jake, zrobiłem, co w mojej mocy.

- Zrobiłeś, co w twojej mocy? To znaczy, że jeśli w ciągu siedmiu dni nie znajdę sobie żony, przypadnie mi spadek? - Hondo przesunął palcami po czarnych, gęstych włosach i zgrzytnął zębami, usiłując się opanować. - Małżeństwo. To chyba jakiś żart.

- Niekoniecznie. Małżeństwo może się okazać czymś przyjemnym.

- Tego błogostanu udawało mi się uniknąć przez trzydzieści pięć lat. Czemu miałbym teraz się żenić?

- Wejźmy do mego biura, gdzie będziemy mogli omówić to na osobności - zaproponował Peter, otwierając drzwi. - Napijesz się czegoś? - spytał, ciskając teczkę na biurko.

- Najchętniej spirytusu. Cholera, Peter, co ja mam teraz zrobić? A co z tymczasowym związkiem? Istnieją przecież białe małżeństwa, prawda?

Peter nalał do szklaneczki whisky i podał Jake'owi

- Zakładając, że znalazłbyś jakąś miłą osobkę... Wciąż jednak pozostaje problem, który powinienś mieć na uwadze.

Jake łyknął whisky i uniósł jedną brew.

- Mianowicie jaki?

- Pamiętam, że twój dziadek wyraził się dokładnie: „noc poślubna” - wyjaśnił, siadając za biurkiem.

- Wiem doskonale... - Jake urwał nagle, stawiając pustą szklaneczkę na stole. - Nie mówisz chyba poważnie! Przyznaj, że nie to akurat miałeś na myśli!

- Niestety, tak. Twój dziadek musiał wyczuć, że spróbujesz wykonać wolę z tymczasowym małżeństwem. Spodziewał się prawdziwego związku, z żoną i dziećmi.

Jake pomachał ręką.

- Skąd możemy wiedzieć, czego dziadek się spodziewał? Wyjaśnij mi, jak zamierzają sprawdzić, czy małżeństwo zostało skonsumowane? Tylko mi nie mów, że sprowadzą lekarza, który...

- Ach, nie - uspokoił go Peter. - Chociaż, gdyby kuzyn był namolny... Wystarczy w zupełności oświadczenie damy.

Jake zacisnął pięści, żałując, że nie wypada mu fizycznie rozładowywać wściekłości.

- Jeszcze jakieś szczegóły, których nie znam?

- Jeśli chodzi o testament, to nie. Jednak podejrzewam, że Randolph może próbować czegoś podstępnego, niegodziwego, a co najgorsze, zupełnie legalnego. W związku z tym podjąłem kroki zapobiegawcze. - Uśmiechnął się, wyciągając z szuflady grubą, pozłocaną kopertę. - Mam nadzieję, że pozwoli nam to znaleźć tymczasową oblubienicę.

- Co to? - Jake w zdumieniu uniósł brew. - Lista kandydatek?

- Ciepło. - Peter poklepał kopertę. - Zająłem się przygotowaniami, gdy tylko Randolph wystrzelił pierwszą salwę.

- Do rzeczy, Bryant.

- Siadaj, to ci wszystko wyjas'nię. - Począł, aż Jake zajmie miejsce. - Słyszałeś o Balu Kopciuszka?

- Nie jestem w nastroju do bajek.

- To nie żadna bajka - uśmiechnął się Peter - tylko coś cudownego.

- Proszę, oszczędź mi szczegółów.

- Jesteś taki cyniczny - zauważył adwokat. Podniósł rękę, by zażegnać nadciągającą burzę. - Uspokój się. Ograniczę się do wersji skróconej.

- Doskonale.

- O tym balu słyszałem jeszcze na studiach. Małżeństwo Montague organizuje go co pięć lat, ponieważ sami poznali się w taki właśnie sposób: na balu. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Rankiem następnego dnia wzięli ślub i - tak przynajmniej twierdzą - żyją szczęśliwie. Organizując Bal Kopciuszka, chcą dać innym szansę.

- To jakiś stek bzdur - oświadczył pogardliwie Jake. - Nie uwierzę, że kogokolwiek może zainteresować tak niedorzeczny pomysł.

- Zdziwisz się - odparł Peter. - Na świecie żyje mnóstwo samotnych ludzi. Chcą założyć rodzinę i poszukują partnera, który podziela ich światopogląd. Wszyscy „goście” starający się o bilet są sprawdzani, by wyeliminować dziwaków i psychopatów. Ci, którzy przejdą przez sito, płacą słony haracz za wstęp. To równie skutecznie selekcjonuje kandydatów.

- Wysłałeś zgłoszenie w moim imieniu?

Peter skinął głową.

- Jeśli musimy dopełnić warunków testamentu, może to być jedyne wyjście.

- Mylisz się. - Jake wstał i nalał sobie kolejnego drinka. - Musi być jakieś inne wyjście. Znajdź je.

- Jako twój prawnik, mówię ci, że to jedyna możliwość. Jako

twój przyjaciel, radzę ci się wycofać. Zrezygnuj ze spadku. Niech dostanie go Randolph.

- Nie ma mowy - nasrożył się Jake.

- Więc musisz się ożenić.

Po tych słowach zapadła długa cisza. Wreszcie Jake westchnął i usiadł.

- Zaznajom mnie ze szczegółami.

- Na balu od razu przechodzisz do rzeczy. Wszyscy chcą, zmienić stan cywilny, wystarczy zatem znaleźć odpowiednią partnerkę, która podziela twoje zapatrywania. W ciągu paru minut możecie omówić wszystko, od finansów po wychowanie dzieci, i nikt nie obraża się za taką szczerość.

- Bo nie ma na to czasu - zauważył Jake.

- Właśnie.

- Zatem spaceruję sobie po sali balowej, przepytując kobiety, żeby dowiedzieć się, która jest gotowa wyjść za mnie i dzielić ze mną łóżko... a potem wychodzę. Tak to wygląda?

- Owszem, ale muszę cię uprzedzić, że szanse na znalezienie kogoś odpowiedniego są bliskie zeru.

Jake w duchu podzielał tę opinię.

- Jeśli nie znajdę sobie żony?

- To nie zażądam od ciebie zwrotu kosztów biletu - wzruszył ramionami Peter.

- W miarę uczciwe - uśmiechnął się Jake. - A co z intercyzą? Nie ma sensu wojować o spadek, który wydrze mi za chwilę jakaś podstępna żmija.

- Mogę przygotować stosowny dokument. Nakłonienie jej do złożenia podpisu pozostawiam tobie.

W oczach Jake'a pojawił się chłodny błysk.

- Podpisze - zapewnił. - Albo niech szuka męża gdzie indziej.

- Bez obecności prawnika reprezentującego jej interesy, ważność tego dokumentu może być zakwestionowana.

- Niech spróbuje - oświadczył Jake z całkowitą pewnością siebie. - Napyta sobie więcej biedy, niż zdoła znieść. Kobieta, którą poślubię, nie będzie marzycielką, śniącą o księciu z bajki i o tym, jak to potem żyli długo i szczęśliwie. Będzie to trzeźwa i praktyczna osoba. Gwarantuję, że bez gadania zgodzi się na warunki wstępne.

scandalous

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdyby nie wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia, teraz nie miałyby już żadnych wątpliwości. Na tle pochmurnego listopadowego nieba wysoki, postawny, barczysty mężczyzna sprawiał wrażenie niezwykłego. Kojarzył się jej z księciem z bajki, zamkiem i długim, szczęśliwym żywotem.

Zwróciła na niego uwagę, kiedy zbliżała się do „pałacu”, olbrzymiego domu, który wykwitł na pustyni Nevady niby wielka, biała latarnia nadziei. Stał pośrodku wykładanego płytami podjazdu, spoglądając z cynicznym wyrazem twarzy na dziwaczny, przybrany niczym tort weselny budynek. Najwyraźniej uważał wystrój za pretenjonalny.

Jej z kolei wydawał się bajeczny.

Różnica poglądów wcale jej nie zraziła. Uchowaj Boże. Ten, którego poślubi, powinien być realistą, sprostać wymaganiom pani Marsh.

Zaciekawiona podeszła bliżej. Mężczyzna, jak na zawołanie odwrócił się lekko, tak że światło padło na jego twarz, odsłaniając bezlitośnie drapieżne rysy. To, co ujrzała, zmroziło ją. Na jej ścieżce stanął bardziej rabuś niż książę z bajki. Ten człowiek wydawał się nie tylko twardy jak skała, niepokojąco przystojny, lecz równie niebezpieczny, jak otaczająca ich pustynia. Czarne włosy i brwi, wystające kości policzkowe, mocna dolna szczęka. Rysy zbyt ostre, by można było uznać go za przystojnego. To jednak nie zraziło Wynne, wręcz przeciwnie, pociągało ją.

Mężczyzna zerknął w dół i jakby w zdumieniu uniósł lekko

brew. Wynne wstrzymała oddech pod przenikliwym spojrzeniem jasnych, złotych oczu.

- Uderzasz w konkury? - spytał głosem dudniącym niczym odległy grzmot.

- Przepraszam? - Odchyliła na bok głowę.

- Szukasz męża?

- Tak.

- To biegnij do środka, elfie. Nie jestem tym, o kogo ci chodzi.

Pojęła, że przywykł do posłuchu. Wkrótce jednak przekonał się, że nie umknęła na widok pierwszej błyskawicy i pomruku grzmotu, choć cała jego postura przypominała jej niebezpieczeństwo nadciągającej burzy.

- Potrzebuję silnego mężczyzny. Wygląda pan na takiego.

- Szukam kobiety, która będzie dzieliła ze mną stół i łóżce, a potem, po jak najkrótszym małżeństwie, pójdzie swoją drogą. - Skrzyżował ręce na piersi i uniósł brew. - Czy tobie również o to chodzi?

- Chodzi mi o mężczyznę, który lubi zwyciężać - odparła wymijająco. - Wojownika.

- Prowadzisz wojnę?

- Tak. - Nachmurzyła się. - Chyba można to w ten sposób określić. Potrzebuję zarazem kogoś uczciwego, rozsądnego i cierpliwego. Łagodnego wojownika.

Mężczyzna rozesłaniał się, w oczach błysnęły mu isierki rozbawienia, co wcale nie złagodziło mu rysów.

- Trafiłaś na niewłaściwego człowieka - powiedział i odszedł.

Poruszał się z gracją, lecz ludzie szybko ustępowali mu z drogi, jakby odsunięci przez jego wewnętrzną siłę. Wynne wcale to nie dziwiło. Taki właśnie poradzi sobie z panią Marsh, pomyślała. Kiedy zastrzegał się, że nie jest uczciwy, rozsądny ani cierpliwy, miała wrażenie, że kłamał. Nie robił tego celowo, po prostu nie dostrzegał własnej szlachetności.

- Jesteś właściwym człowiekiem - powiedziała, uśmiechając się szeroko. - Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Jake wmieszał się w tłum zdążający do budynku. Jedną z głową, pomyślał. Zostało jeszcze kilkaset. Miał przed sobą dziewięć do dziesięciu godzin, co oznaczało, że w ciągu każdej z nich powinien przepytąć około trzydziestu kobiet. Dwie minuty na kandydatkę. Sto dwadzieścia sekund na wybór żony. Wspaniale. Genialnie. Gdzie ten Peter miał rozum? Ciekawe, w jaki sposób udało mu się wymyślić taki niedorzeczny plan?

Wszedł na schody prowadzące do wejścia i obejrzał się. Elf stał, tam gdzie go zostawił. Sukienka odcinała się w gęstniejącym mroku bladą zielenią. Szkoda. Była bardzo kuszącym kąskiem

Niestety, gdy tylko zauważył ją kręcącą się u jego boku, wiedział, że do niego nie pasuje. Po pierwsze, wyglądała na marzycielkę poszukującą księcia z bajki. Po drugie, była aż zanadto pociągająca. Jeden rzut oka na blond włosy i oczy barwy wiosennych liści powiedział mu, że powinien trzymać się od niej z daleka, bo inaczej porwie ją i zaciągnie do jakiegoś ustronnego miejsca. A to się na pewno nie uda.

Zasępił się i spróbował wyrzucić z pamięci ten uśmiech dobrej wróżki. Miała jego zdaniem szczerą, nieco szelmowską, inteligentną, lecz zdradzającą bezbronność minę. Ten rodzaj twarzyczki zapadał głęboko w serce mężczyzny, zatruwając umysł nieprawdopodobnymi fantazjami. Jake porzucił te fantasmagorie przed laty. Wiedział, że nigdy się nie spełniają. Byłaby to komplikacja, na którą - chcąc zdobyć spadek - nie mógł sobie pozwolić.

Ktoś przechodzący obok trącił Wynne, przywracając ją do rzeczywistości. Zorientowała się, że stoi zamyślona na środku chodnika. Oczami wyobraźni kreśliła słodkie fantazje, w których prócz niej istotną rolę grał przystojny, ciemnowłosy książę i oczywiście

dzieci. To mogłoby stać się realne pod warunkiem, że zdoła przezwyciężyć pewien męski upór.

Wpatrywała się pytającym wzrokiem w plecy tego uparciucha, gdy nagle ten zawahał się i zerknął w jej stronę. Potrzebował jej. Ta podświadoma pewnos'ć zaczęła narastać w niej z każdą chwilą. Wyczuła w nim wewnętrzną pustkę i wiedziała, że jest w stanie ją wypełnić, bolesną ranę, którą mogła uleczyć. Potrzebował kogoś, kto pomógłby mu odkryć tkwiące w nim pokłady dobra i nie zniechęciłyby się gniewnymi błyskami w złotych oczach ani trudnym, niezależnym charakterem. Tego człowieka prześladowały demony, złe duchy, które potrafiłaby zwyciężyć.

Potrzebował jej.

Ujawszy rąbek długiej sukni, ruszyła w stronę domu. Nie chciała tracić z oczu swego przyszłego męża. Gotów jeszcze wpakować się w Bóg wie jakie tarapaty. Mógłby wybrać sobie niewłaściwą żonę po prostu z niewiedzy. Usmiechnęła się. Albo przez czystą przekorę.

Minęła dwuskrzydłowe drzwi i stanęła jak wryta, rozglądając się ze zdumieniem po wnętrzu. Marmurowy hol zdawał się ciągnąć w nieskończoność, grube filary zostały przystrojone na zbliżające się Święto Dziękczynienia sosnowymi girlandami, lampionami i białą satyną. Masywny żyrandol rozsiewał tęczy krag, lśniąca tysiącami maleńkich pryzmacików, błyszczał jak słońce. Rozwidlające się w kształcie serca schody na końcu holu wiodły do sali balowej.

Wynne poszła na górę, z każdym krokiem czując się coraz bardziej jak Kopciuszek. Na podeście dołączyła do krótkiej kolejki osób oczekujących na wejście. Mocno ścisnęła bilet. Zamknęła oczy i pomyślała sobie życzenie, zgodnie z którym wszyscy obecni na dzisiejszym balu powinni zrealizować swoje marzenia.

- Witamy na Balu Kopciuszka.

Wynne otworzyła oczy i zobaczyła, że znalazła się na początku kolejki. Stała naprzeciwko najpiękniejszej dziewczyny, jaką widziała do tej pory.

Kobieta miała bujne, czarne włosy odgarnięte do tyłu i zebrane w zawity węzeł. Głębię wielkich oczu koloru ciemnego bursztynu podkreślały okalające je gęste rzęsy. Kobieta ciepło się uśmiechając, podała Wynne rękę.

- Ella Montague.

- Wynne Sommers. Miło mi cię poznać. - Uścisnęła jej dłoń, spoglądając na Ellę z podziwem. Sama powinna wyglądać dziś równie oszałamiająco, a nie niczym „kupka nieszczęścia”, jak kiedyś określiła ją pani Marsh. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że Ella Montague dałaby się zdominować komukolwiek, a na pewno już nie pani Marsh. Jednak widząc zaniepokojoną minę dziewczyny, pomyślała sobie, że nic nie jest dane za darmo, nawet uroda.

- Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić - mruknęła Ella, wrzucając złoty bilet Wynne do wyłożonego białym atłasem koszyka. - Możesz śmiało zwiedzać wszystkie pokoje na dwóch pierwszych piętrach. Na parterze są szwedzkie stoły, a ogrody również stoją otworem dla gości. Jeśli już znajdziesz partnera, ceremonie ślubne odbywają się w buduarach obok głównej sali balowej. Gdybyś miała jakieś pytania czy problemy, zwróć się do któregoś z kamerdynerów. Noszą biało-złote liberie, więc trudno ich przeoczyć.

- Dzięki - odparła Wynne i ruszyła dalej. Stało tam starsze małżeństwo, o minach szczerych jak niemowlęta.

- Witaj, kochanie - powiedziała kobieta, ujmując Wynne za rękę. - Jestem Henrietta Montague, a to mój mąż Donald.

Wynne obejrzała się w stronę Elli, zahipnotyzowana jej grecką, suknią i znów spojrzała na starsze małżeństwo.

- Ella jest waszą córką? - spytała.

- Ukochaną jedynaczką - przyznała z dumą Henrietta. - Rajski ptak wychowywany przez strzyżyki.

- Lubię strzyżyki - uśmiechnęła się Wynne. - Są bystre, wesołe i zawsze mają sobie coś do powiedzenia.

- Co za urocza definicja - rozpromieniła się Henrietta.

- Słyszałem, kochanie. - Donald uscisnął dłoń Wynne. - Rozglądaj się uważnie dzisiejszej nocy. Wybierz sobie najlepszego.

- Och, już go znalazłam - nie wytrzymała Wynne. - Jest najlepszy na świecie.

Łzy zalśniły w oczach Henrietty.

- Tak się cieszę. Życzę szczęścia, kochanie. Przy odrobinie powodzenia spotkamy się w przyszłym roku.

- W przyszłym roku? - powtórzyła zdumiona Wynne.

- Wtedy wydajemy nasz Bal Rocznicowy. Wszyscy, którzy spotkali się i pobrali na Balu Kopciuszka, są zaproszeni, żeby uczcić wraz z nami swoją pierwszą rocznicę.

Wynne ze zrozumieniem skinęła głową.

- W takim razie spotkamy się w przyszłym roku.

Następnie ruszyła w stronę sali balowej, rozglądając się w tłumie w poszukiwaniu czarnych włosów i szerokich ramion.

Czas znaleźć przyszłego małżonka.

Jake oparł się o ścianę i ze zniecierpliwieniem obserwował tłum. Niech to diabli! Odkąd tu przybył, minęły cztery okropne godziny, które spędził, wzniecając popłoch wśród kobiet, niczym buhaj na łące pełnej jałówek. Nie poczynił przy tym żadnych postępów. Było tu co prawda pełno najróżniejszych kobiet, ale każda z jakąś listą żądań lub, co gorsza, oczekiwań. W dodatku żadna z nich nie była zainteresowana tymczasowym związkiem.

Podeszła do niego brunetka o przenikliwym spojrzeniu. Szybko zorientował się, że bardziej od błogosławieństwa sakramentu interesuje ją stan jego konta. Po dwóch minutach rozmowy wiedział, że brunetka nigdy nie podpisze intercyzy. Dwie kolejne minuty zajęło mu przekonanie jej, iż nie jest zainteresowany kupnem jej wdzięków. Brunetka odeszła, a na jej miejsce pojawiła się ruda. Trzęsła się trochę i Jake przypuszczał, że całą odwagę zużyła na podejście do niego.

- Nikki Ashton - przedstawiła się i podała mu rękę.

- Jake Hondo.

Potem zaległa pomiędzy nimi niezręczna cisza.

- Szukam męża - wykrztusiła wreszcie Nikki.

- Naprawdę? - mruknął kwaśno. - Co za zbieg okoliczności, bo ja szukam żony.

Popatrzyła na niego zmieszana i zarumieniła się.

- Och, wiedziałam, że to nie ma sensu. Popełniłam błąd, przychodząc tutaj. - W jasnoniebieskich oczach zamigotał fioletowy błysk. - Przepraszam, że zawracam panu głowę. Po prostu nigdy przedtem tego nie robiłam. A już myślałam... miałam nadzieję...

Jake westchnął ciężko, obawiając się, że jeśli nie powie czegoś miłego, rudowłosa Nikki gotowa wybuchnąć płaczem.

- Chcesz zacząć od początku?

- Czy to ma jakiś sens? - Wzruszyła lekko ramionami.

- Może. Szukam tymczasowej żony. Jesteś zainteresowana?

Ta wypowiedź przykuła jej uwagę.

- Tak. W rzeczy samej jestem. - Lekki usmiech zagościł na jej ustach i odprężyła się nieco. - Nie miałabym nic przeciwko tymczasowemu związkowi.

- Mówisz serio? - Uniósł brew.

- Jak najbardziej. Potrzebuję męża dopóty, dopóki moja siostra nie przekona się, że jestem szczęśliwą mężatką.

- Szczęśliwą?

- Do nieprzytomności. - Przymrużyła oczy. - Potrafisz chyba udawać nieprzytomnie zakochanego?

- Chyba tak. - Odczekał chwilę i dodał: - Jeśli będziesz ze mną spała.

- Przepraszam? - Ze zdziwienia otworzyła usta.

- Muszę mieć żonę dzielącą ze mną stół i łóżko, żeby odziedziczyć posiadłość po dziadku. A moja żona powinna prócz tego sta-

wić się w sądzie i zeznać to pod przysięgą. - Odchylił się do tyłu na obcasach. - Wytrzymasz to?

Obserwował, jak się zastanawia nad tym, co usłyszała. Gdyby nie oświadczyła, że jest zainteresowana krótkoterminowym związkiem, pozbyłby się jej od ręki. Jeden rzut oka przekonał go, że nigdy się nie zdecyduje. Po pierwsze, była za ładna, prawie tak s'liczna jak jego mały elf, może nawet bardziej kolorowa i żwawa. W ciągu trzydziestu pięciu lat nauczył się, że pięknym kobietom trzeba dać nieco czasu do namysłu. Po drugie, białe gładkie dłonie Nikki świadczyły o tym, że nie przepracowała fizycznie ani jednego dnia w życiu. Na ranczu będzie tyle z niej pożytku, co z piątego koła u wozu.

Wciąż jednak malały jego szanse. Może i zaakceptowałby taką kobietę, gdyby zmusiła go do tego sytuacja. Mogłaby siedzieć w salonie i wyglądać cudownie i bezbronne tak długo, jak długo będzie dzieliła z nim łóżko. Przedtem jednak musiałyby potwierdzić spełnianie małżeńskich powinności przed sędzią i wszystkimi świadkami.

- No i? - naciskał.

- Nie ma innej możliwości?

- Nie ma ani innej możliwości, ani też innych warunków.

- Jest jeszcze pewien drobiazg... Oprócz siostry, muszą również przekonać szefa. Musiałbyś udawać kochającego męża we wszystkich sytuacjach związanych z pracą zawodową oraz przed członkami mojej rodziny.

Cholera.

- Cóż, czas ucieka. Gdzie zamierzasz odgrywać to zakochane do nieprzytomności małżeństwo?

- W Nowym Jorku. Czemu pytasz?

- Ponieważ mam ranczo i potrzebuję żony, która będzie mieszkała ze mną w Teksasie.

Pokręciła głową.

- Potrzebuję męża, który zamieszka ze mną w Nowym Jorku.
- Uśmiechnęła się nieśmiało. - Chyba nic z tego nie wyjdzie.

- Na to wygląda.

- Mimo wszystko dziękuję. - Ponownie podała mu rękę. -
I dziękuję, że pomogłeś mi przez to przebrnąć. Teraz będzie mi
łatwiej. - Wygłosiwszy tę uwagę, oddaliła się spiesźnie.

- Okazała się nieodpowiednia? - spytał z tyłu miły głosik.

Jake odwrócił się i spojrzał w dół. Widok stojącego obok elfa
zdziwił go i zirytował zarazem.

- Myślałem, że pozbyłem się ciebie...

Wzruszyła ramionami. Wdzięczny ruch przykuł jego uwagę do
delikatnej szyi, zgrabnych ramion i krótko przyciętych włosów,
które podkreślały delikatne rysy. Przypominała mu klacz czystej
krwi, smukłą, wrażliwą i zwinną.

- Niełatwo się mnie pozbyć - odparła nie zrażona grubiańskim
komentarzem. - Jestem uparta.

Uśmiech zagościł na ustach Jake'a.

- Nudna.

- Wytrwała.

- Natrętna.

- Zdecydowana.

- Czepliwa.

- W takim razie przyczepię się do ciebie - roześmiała się.

- Tego się właśnie obawiałem - rzekł kwaśno.

Spojrzała na niego ze współczuciem.

- Nie poszczyściło się?

- Nie za bardzo. A tobie?

- O, jeszcze się nie poddałam. Te sprawy wymagają czasu.

- Który nam się coraz bardziej kurczy - powiedział z uś-
miechem.

- Niestety.

Odsunęła z czoła kosmyk włosów i utkwiała wzrok w Jake'u. Ku

jego rozbawieniu, to spojrzenie było zarazem ostrożne i natarczywe.

Skrzyżował ręce na piersi.

- Wykrztuś to, krasnoludku. Czego chcesz?

Chwyciła głęboki oddech i usmiechnęła się dla kurażu.

- Chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Nazywam się Wynne Sommers.

Imię pasowało do właścicielki.

- Jake Hondo - zrewanżował się z wyraźną niechęcią.

- Chcesz coś zjeść? - spytała. - Umieram z głodu. Może odwiedzilibyśmy bufet i mógłbyś mi opowiedzieć, czego oczekujesz po żonie.

- Już to omawialiśmy - powiedział ostro. - Szukam krótkotrwałego związku, ty pewnie kogoś na stałe.

- Wolałabym trwały związek - poprawiła go - lecz jestem gotową pójść na kompromis.

Zmrużył oczy.

- Potrzebuję kogoś, kto potrafi ciężko pracować. Ciebie zdmuchnie pierwszy powiew wiatru.

- Nie tak łatwo mnie zdmuchnąć. A co do ciężkiej pracy...

- Podniosła dłonie do góry. Zaczerwienioną, szorstką skórę pokrywały odciski. - Umiem obchodzić się z wiadrzem mydlin.

Jake zgrzytnął zębami. Nie powinna mieć spracowanych dłoni, a białe, jedwabiste i wypielęgnowane jak u rudowłosej. Zmierzył ją wzrokiem. Elf musiał ciężko zarabiać na życie. Czy dlatego tu przyszła, by uciec od trudów egzystencji?

- Poszukujesz łagodnego wojownika - przypomniał jej. - Ja nie mam nic wspólnego z łagodnością.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

- Doprawdy?

- Owszem - odparł i odwrócił się.

Dziewczyna nie odeszła. Stała obok w milczeniu i czekała. Nie-

chętnie zerknął na nią ponownie. Suknię miała uszytą z połyskującej tkaniny. Jasna zieleń prawie idealnie pasowała do koloru jej oczu. Wycięty w serek stanik otulał łagodne okrągłości i wzmagał w nim chęć zaciągnięcia jej do ciemnego kąta, gdzie mógłby się bliżej zapoznać z tymi kształtami, pewnie bardziej miękkimi niż jej dłonie.

- Nie potrzebujesz mnie - odezwał się szorstkim tonem. - Nie jestem odpowiednim kandydatem na męża dla ciebie.

- Skoro nie chcesz zjes'ć ze mną, to może zatańczymy?

Miałby trzymać ją w ramionach, poczuć pod palcami dotyk tej bladej, aksamitnej skóry, wdychać jej zapach i tulić ją do siebie? Czy ona wyobraża sobie, że on jest z kamienia?

- Nie ma mowy - warknął i złapał ją za rękę. - Idziemy do bufetu.

Prowadził ją przez tłum, wymyślając sobie w duchu od głupków, bo czuł, że nagle wpadł w jakąś pułapkę. Doszedł do wniosku, że nie był w stanie się upilnować.

Sposób, w jak Wynne spoglądała na niego, niekłamana wiara w jej niewinnych, zielonych oczach budziła w nim odruch wzięcia jej po opiekę i zapewnienia, że nic i nikt jej nie skrzywdzi. Nie próbował nawet zastanawiać się nad tą reakcją. Zauważył kilka razy, jak mężczyźni tłoczyli się wokół niej niczym stado głodnych psów. Za każdym razem, kiedy sądził, że jest bliska wybrania sobie męża, coś ścisnęło go za gardło.

Pomyślał, że właściwie wyrządza jej grzeczność. Nie wiedział, co skłania ją do tak radykalnego posunięcia, czemu uznała małżeństwo z nim za jedyne wyjście, ale podejrzewał, że widzi w nim jedynie swoje wyobrażenie. Jeśli ją poślubi, w krótkim czasie uwolni ją od jej problemów. Przez ten czas ona przekona się, że każdy związek małżeński bardziej przysparza kłopotów, niż pozwala się z nimi uporać. Wówczas, mając przed sobą perspektywę uwolnienia się od tego ciężaru, będzie bardziej szczęśliwa niż teraz.

TYMCZASOWY MAZ

Zacisnął mocniej wargi, uświadamiając sobie, że usiłował ukryć prawdę pod płaszczykiem racjonalności. Gdyby był uczciwy, przyznałby, że zależy mu na dwóch rzeczach: na spadku i zaciągnięciu tej kobiety do łóżka. Pożądał jej. Chciał, by opłotły go jej delikatne ramiona. Marzył, by ujrzeć, jak rozplómienia ją namiętność. Przede wszystkim jednak pragnął, by wciąż patrzyła na niego tak jak nikt nigdy dotąd: ze szczerym podziwem i zaufaniem.

Była chyba szalona, wierząc w niego, a on jeszcze większym głupcem, utrzymując ją w tym przekonaniu.

Wynne przystanęła zdumiona w progu jadalni.

- W życiu nie widziałam tyle jedzenia naraz - wyszeptała.

Jake zerknął na nakryte adamaszkim stoły, na których pieprzyły się najwymyślniejsze frykasy. Gospodarze nie oszczędzali na niczym. Zważywszy na cenę biletów, mogli sobie pozwolić na przyzwoite jedzenie.

- Na co masz ochotę? - spytał rozbawiony łakomym spojrzeniem, którego Wynne wcale nie usiłowała zamaskować.

- Chcę spróbować wszystkiego po trochu - odparła pospiesznie. - Zacznijmy od deserów.

Jake roześmiał się, dziwiąc się, że jeszcze to potrafi.

- Nie boisz się utyć?

- Ależ skąd - zapewniła go wesoło. - Znam mnóstwo sposobów na spalenie zbędnych kalorii.

Jake uniósł brew.

- Jak je spalasz? - spróbował wysondować, podając jej porcelanowy talerz. - Podczas długich nocy?

Wynne wybrała duży kawałek ciasta w polowie czekoladowej.

- Owszem. - Chwyciła głęboki oddech i popatrzyła mu w oczy niewinnym spojrzeniem. - Pracuję jako kelnerka i pomywaczka. Przepraszam. Pracowałam jako kelnerka i pomywaczka. Już się tym nie zajmuję.

To by wyjaśniało spracowane dłonie. Chyba że wymyśliła to wszy-

stko, jako odpowiedz' na jego aluzję. Nie jest w końcu taka naiwna. A jeśli tak? Może jeszcze jest nietknięta, może jest dziewicą? Do diabła, na to nie pójdzcie. Dziewice oczekują stałego związku. Zaangażowania uczuciowego. Romansu. Dziewice spodziewają się trwałości. On z kolei poszukiwał osoby doświadczonej. Kogoś, kto wie, w co się pakuje i nie zająknie się, kiedy przyjdzie zdawać sprawę z wykonywania obowiązków małżeńskich przed sędzią Graydonem.

Kogoś, kto odejdzie we właściwym czasie.

- Ile właściwie masz lat?-spytał podejrzliwie.
- Dwadzieścia sześć.

Nie potrafił ukryć ulgi. Dwadzieścia sześć. To brzmiało zachęcająco. Na świecie nie pozostało chyba zbyt wiele dwudziestosześcioletnich dziewic. Chociaż... Było w niej coś odmiennego, jakaś odurzająca niewinność i świeżość.

- Spałaś kiedyś z mężczyzną? - zapytał obcesowo.

Nie wydawała się bardziej zdumiona niż inni współbiednicy, którzy dosłyszeli to pytanie.

- A powinnam?
- Tak. Bez wątpienia.
- Och! - Nałożyła sobie na talerz malinowe ciastko. - Jeśli ta informacja na coś się przyda, to trzy razy byłam zaręczona.

Jake zacisnął dłonie na talerzu. Do diabła. Trzy razy, to trzech mężczyzn i trzy okazje, by zaciągnąć tego elfa do łóżka. Zamiast ulgi poczuł żądzę mordu.

- Trzy razy?
- T a k .

Popatrzyła na niego i z jej oczu wyczytał, że to prawda. Wypuściło ją z garści trzech facetów. Byli ślepi, czy co? Wziął od niej talerzyk z ciastkiem i pociągnął w stronę wyjścia.

- Chodźmy, musimy porozmawiać gdzieś na osobności. Chcę to jakoś uporządkować.

Wynne rzuciła tęskne spojrzenie w stronę deserów, których nie

zdążyła skosztować i wyszła z nim przez oszklone drzwi do ogrodu. Było niezwykle ciepło jak na listopad, prawie nie dawało się wyczuć wieczornego chłodu. Egzotyczne drzewa i krzewy Is'niły w świetle lampionów, a księżyc w pełni rozjas'niał ścieżkę, tworząc ciekawe wzory światła i cienia. W zatoczkach stały ławki i stoły. Jake znalazł jeden wolny w głębi ogrodu.

- Powiedz mi, czemu chcesz wyjść za mąż?

Wynne usiadła. Jej suknia połyskiwała w świetle gwiazd, a w oczach i we włosach pojawiły się srebrne błyski.

- Obawiałam się, że o to spytasz - wypaliła i spoglądając niepewnie, zajęła się malinowym ciastkiem z rumem. - Może najpierw sam byś to wyjaśnił?

- Dobrze - zgodził się, odsuwając talerzyk na bok. - To proste. Mam otrzymać spadek. Albo ożenię się, albo go stracę. - Zniżył głos. - Jak widzisz, nie mam zamiaru go stracić.

Wynne odłożyła widelczyk i popatrzyła na Jake'a w osłupieniu.

- To wspaniale.

Jake pochylił się, przesywając ją zimnym spojrzeniem.

- Mogę stracić mój spadek, a ty uważasz to za wspaniałe?

- Nie, źle mnie zrozumiałeś.

- W takim razie mnie oświeć.

- Ja również mam spadek i również jedyną drogą zatrzymania go jest małżeństwo. Co za zbieg okoliczności. - Zerknęła na niego.

Jake'a zaniepokoił nadmiar tych zbiegów okoliczności.

- To dlaczego dążysz do trwałego związku?

- Już ci mówiłam. Wcale nie musi być stały, tylko... - Zawa-
hała się, szukając odpowiednich słów. Jake nie sądził, że będzie się tym aż tak przejmowała. - Widzisz, jest pewna kobieta, nazywa się, pani Marsh. Pragnie mojego spadku i zrobi wszystko, by mi go odebrać. - Nachmurzyła się, zdenerwowanie odbiło się na jej twarzy. - Już zdołała wystraszyć moich trzech narzeczonych. Dlatego potrzebuję kogoś silnego, to pomoże mi w walce z nią.

To dużo wyjaśniało. Trzech poprzednich narzeczonych Wynne okazało się palantami, którzy składali obietnice, nie zamierzając ich dotrzymać. Jake nie miał również wątpliwości, że udało się im zaciągnąć Wynne do łóżka.

- Niełatwo mnie przestraszyć - podkreślił. - Zawsze też dotrzymuję słowa.

- Spodziewałam się, że to powiesz - uśmiechnęła się. - Pozostaje tylko jeden problem.

Oczywiście. Zwodziła go ciekawszymi aspektami bycia jego żoną, usiłowała zwabić go w pułapkę. Klatka omal się nie zatrzasnęła. Kiedy wreszcie się nauczy, że nie ma nic za darmo?

- Co to za problem? - spytał ponuro.

- Chcesz krótkotrwałego związku, zgoda. Nie wiem jednak, ile czasu zajmie pozbycie się pani Marsh, przekonanie jej, że nie zdoła dobrać się do mojego spadku.

- Nie rozumiem. Skoro wyjdiesz za męż...?

- ..to spadek należy do mnie. Prawnie. Jeśli jednak zorientuje się, że to białe małżeństwo, nie da za wygraną. Położy na nim łapę zaraz po rozwodzie.

- Więc musimy się postarać, żeby nie dowiedziała się o rozwodzie. - Jake wzruszył ramionami.

Wynne przygryzła dolną wargę.

- Jeśli się dowie, postaram się o innego męża.

Jake umilkł, rozwścieczony jej wypowiedzią. Nie miał prawa się złościć. Skoro tylko Wynne wypełni swe małżeńskie obowiązki, nie powinno go interesować, co dalej zrobi. Teraz pomoże jej pozbyć się pani Marsh. Potem musi radzić sobie sama. Zawahał się, świadom, że ich umowa nie była zupełnie sprawiedliwa. Wynne wciąż miała szansę spotkać kogoś, kto zostanie z nią na zawsze i zagwarantuje, że pani Marsh już nigdy jej nie zagrozi.

- Nie nadaję się dla ciebie - powiedział, wstając i pomógł pod-

nieść się Wynne. - Wracaj na salę balową, może spotkasz kogoś odpowiedniejszego, kogoś na stałe.

Wynne pokręciła głową i uśmiechnęła się.

- Już znalazłam najlepszego.

Dał jej ostatnią szansę odwrotu. Jeśli zostanie, sama przypieczętuje swój los.

- Uciekaj, mały elfie - nalegał. - Uciekaj, póki jeszcze czas. Nie potrzebujesz takiego męża. Skrzywdziłbym cię.

- Nigdy mnie nie skrzywdzisz - odparła, unosząc twarz.

- Tak sądzisz? - Objął jej szczupłe ramionka i pociągnął ku sobie. - A może się przekonamy?

ROZDZIAŁ DRUGI

Wynne została obdarowana niezwykłym pocałunkiem. Z miny Jake'a oraz siły, z jaką trzymał ją w ramionach, pojęła, że miała to być wyjątkowo brutalna pieszczota. Chciał ją przestraszyć. Jednak zanim do tego doszło, jego zamiary obróciły się wniwecz.

Z westchnieniem dotknął łagodnie ustami jej warg, badając i smakując ich miękkość. To niespieszne, leniwe wręcz zachowanie sprawiło, że w umyśle Wynne pozostało tylko jedno pragnienie, by dos'wiadczyć czegoś więcej. Jake musiał chyba wyczuć bezwarunkową kapitulację dziewczyny, bo nacisk ust stał się mocniejszy, twardszy, wywołując u niej reakcję, jakiej się po sobie nigdy nie spodziewała.

Czy podejrzewał, jakie wstrząsające wrażenie wywrze na niej ten pocałunek? Wczes'niej był niezwykle zainteresowany poziomem jej edukacji seksualnej, bojąc się, że może mieć do czynienia z dziewicą. Może więc teraz usiłował to sprawdzić, bo choć zaczął delikatnie, to teraz całował ją coraz namiętniej.

Wynne wspięła się na palce i przywarła do Jake'a, pragnąc nasyć się tym nowym doświadczeniem. W odpowiedzi na to podniecony Jake przycisnął ją mocniej do swego muskularnego ciała. Jego ręce z widoczną wprawą przesuwały się po niej, jakby chciał nauczyć się na pamięć każdego skrawka jej ciała. Te dotknięcia paliły ją wręcz. Zadrżała, gdy pożądanie wzięło górę nad rozsądkiem.

- Jake, proszę! - wyrwało się jej niespodziewanie. Przez krótką, szaloną chwilę wydawało się jej, że Jake zawlecze ją w zarośla. Zamiast tego rozluźnił uścisk i odsunął ją od siebie. Chłodne po-

wietrze wdarło się tam, gdzie przed chwilą panował nieznośny żar. Opierała się, nie chcąc opuścić opiekuńczych ramion.

- Nie powinniśmy się posuwać dalej, Wynne - szepnął jej do ucha. - Tego nie planowałem.

Przywarła do niego, starając się odzyskać równowagę ducha.

- A co planowałeś?

- Spławić cię - udzielił boleśnie szczerej odpowiedzi.

- Och! - Wtuliła mu głowę w zagłębienie ramienia. Pasowało, jakby dla niej stworzone. - Nie udało ci się.

- Właśnie widzę - roześmiał się cicho. - Czy to znaczy, że jesteśmy zaręczeni?

Wynne starała się rozważyć to pytanie w pozbawiony emocji, racjonalny sposób. Uśmiechnęła się gorzko. To zadanie przerastało jej możliwości. Jak zdoła myśleć logicznie, kiedy pragnie jedynie zatopić się w jego pocałunku? Nigdy przedtem się nie zakochała, a już na pewno nie w człowieku, którego poznała zaledwie parę godzin temu, nie wiedziała więc, jak oddzielić serce od rozumu.

- Wynne? - Jake przycisnął ją mocniej do siebie. Był spięty. - Zmieniłaś zdanie?

- Nie. - Pokręciła głową. - Nie zmieniłam zdania. - Odchyliła się, by spojrzeć mu w oczy. - Powiedziałaś „zaręczeni”, czy to forma oświadczyn?

Zawahał się.

- To propozycja tymczasowego małżeństwa.

Nie uzyska od niego niczego więcej. Przynajmniej na razie. To było nieważne. Będzie miała mnóstwo czasu, by przekonać go, że potrzebuje jej na stałe. Wreszcie, kto wie, ile czasu potrzeba, by przekonać panią Marsh o autentyczności ich małżeństwa? Tydzień, miesiąc, pół roku? Była pewna, że owe sześć miesięcy zamieni bez trudu w sześć lat, potem w sześćdziesiąt...

- Przyjmuję - odparła. - Chociaż byłabym szczęśliwa, gdybym mogła zostać z tobą dłużej, jeśli pozwolisz.

- Nie pozwolę - rzekł twardo. - Niech ci się nie wydaje, że zmienisz moją decyzję w tej kwestii. Nic z tego. To małżeństwo jest związkiem tymczasowym.

- Jak sobie życzysz. - Westchnęła, przesuwając palcami po czarnych kędziorach włosów Jake'a. - Może byś mnie znów pocałował? Spodobało mi się. To takie miłe.

- Miłe? - Nachmurzył się. - Przypomnij mi, żebyś nie prosił cię o referencje.

Wynne zarumieniła się.

- Cóż, spodobało mi się na tyle, że chętnie całowałabym się z tobą przez całą noc.

- Nie ma sprawy.

Jeśli zamierzał ją tym speszyć, pomylił się. Popatrzyła na niego w zachwycie, unosząc usta do pocałunku.

- Naprawdę przez całą noc?

Spojrzenie Jake'a wyjaśniło jej bez ogródek, jak wielką stanowi dla niego pokusę, której niestety musi się oprzeć.

- Przede wszystkim musimy przejść przez tę całą ślubną farsę. Mam pokój w Grand Hotelu, do którego może emy udać się w chwilę potem. Skoro się tam już znajdziemy, będziemy mogli spędzić razem najdłuższą noc, jeśli wola.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Doskonale. Ja też zatrzymałam się w Grandzie.

- Posłuchaj mnie, Wynne. - Chłodny ton jego głosu ostudził jej euforię. - Jest jeszcze szczegół lub dwa, które musimy uzgodnić.

- Tylko tyle? - droczyła się, usiłując ukryć zdenerwowanie. - Jedynie dwa szczegóły?

- Kiedy udamy się do Grand Hotelu... - Zawiesił głos, po czym dodał obojętnym tonem: - Zamierzam skonsumować to małżeństwo. Jeśli nie jesteś na to przygotowana, możesz teraz się wycofać.

- Nie wycofam się - odparła pospiesznie. Niby czemu? On był wręcz doskonały. Łączył w sobie wszystko, czego szukała u męż-

czynny. Znalazła swego rycerza w ls'niającej zbroi, tak jak chciała. Bez wątpienia znajdzie szczęście W małżeństwie z tym człowiekiem, nieważne, jak długo potrwa ich związek. Szelmowski uśmiech zagościł na jej wargach. Oczywiście, zamierzała, by potrwał znacznie dłużej, niż planował to Jake. - Zatem jeden szczegół mamy z głowy. Coś jeszcze?

- Mam intercyzę, którą musisz podpisać.

- Nie ma sprawy. - Wzruszyła ramionami. - Daj mi pióro, to podpiszę.

Zacisnął wargi.

- Nie podpiszesz niczego, zanim nie przeczytasz.

- Dobra, mogę to przeczytać. Czemu nie? A o co tam chodzi?

- O to, że po rozwodzie mój spadek pozostaje przy mnie. - Spojrzał jej w oczy. - W całości.

- No jasne. Przecież po to jest ten cały ślub.

Ujął ją za rękę.

- Wydaje mi się, że chodzi ci o coś więcej niż spadek.

Spojrzała na złączone ręce i zmarszczyła brwi, widząc jak pomimo stosowania kremu ma bardzo czerwone i spierzchnięte dłonie. Czy on również zawsze pozostanie taki szorstki, pomyślała odruchowo. Dotąd uważała, że jest to niewielka cena, jaką przyjdzie jej zapłacić za osiągnięcie celu.

- Mówiłam ci już, dlaczego potrzebuję męża - powiedziała, niezbyt przekonana, że jej wierzy. - O co jeszcze mogłoby mi chodzić?

- Może zmęczyła cię już harówka dla związania końca z końcem i szukasz kogoś, kto ulży twej doli.

Wyjątkowo subtelna aluzja, jak na kogoś o tak obcesowym charakterze.

- Rozumiem - mruknęła. - Uważasz, że jestem nieszczęśliwa, bo za ciężko pracuję.

- Nie tyle nieszczęśliwa - pokręcił głową - co raczej spragnio-

na nowej drogi życiowej. Małżeństwo może się wydawać cholernie kuszącą perspektywą, jeśli gwarantuje wyrwanie się z kierunku codziennej harówki.

Uśmiechnęła się z ulgą.

- Rozumiem, czemu tak myślisz. Masz rację. Ciężko pracuję, żeby związać koniec z końcem.

Gdyby znał całą prawdę, wiedziałby, że znalazła się w rozpaczliwej sytuacji: bez pieniędzy, pracy, bez dachu nad głową. Jednak to tylko trudności przejściowe.

- Czy dlatego wychodzisz za mąż, żeby uciec od codziennych kłopotów?

- Nie - oświadczyła bez wahania. - Niektórzy ludzie uważają małżeństwo za najlepsze wyjście z sytuacji. Nigdy się do nich nie zaliczałam. Jestem zdrowa i nie boję się ciężkiej pracy. Jeśli sprawy przybrałyby niefortunny obrót, wiem, co zrobić, by temu zaradzić. Małżeństwa potrzebuję jedynie dla zachowania należnego mi spadku.

Z pozostałymi kłopotami poradzi sobie w swoim czasie, gdy małżeństwo się skończy. Jeśli w ogóle się skończy, nie mogła się powstrzymać od myślenia życzeniowego.

- To wszystko? Wychodzisz za mąż, by zachować spadek? Bez ubocznych motywów?

- Nie potrzebuję twoich pieniędzy - odparła z całkowitą szczerością - ani niczego innego, co może być przedmiotem twojego spadku. Potrzebuję jedynie ciebie. Jeśli dasz mi te papiery i pióro, z całą przyjemnością podpiszę intercyzę.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową.

- To mój ostatni warunek. Jeśli masz jakieś swoje, nadeszła pora, by je wyjawić.

- Chcę tylko, żebyś pomógł mi w walce z panią Marsh - powiedziała. - Kiedy już zostaniemy małżeństwem, spodziewam się, że staniesz po mojej stronie.

Uśmiechnął się ironicznie.

- Na czas trwania naszego małżeństwa masz gwarancję mojego nieograniczonego poparcia.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Nawet jeśli potrwa dłużej, niż zakładałeś?

Nie podobał mu się ten wtręt, lecz ku uldze Wy rine przystał na to.

- Mam nadzieję, że mówisz poważnie.

- Wątpisz w moje słowa? - obruszył się..

- Nie w tym rzecz. - Wzruszyła ramionami. - Żaden z moich byłych narzeczonych nie dotrzymał obietnicy. Pani Marsh wystraszyła wszystkich.

- Nie jestem taki jak oni - warknął. - Dotrzymuję słowa.

Modliła się w duchu, by nie zmienił zdania, gdy pozna całą prawdę. Nie była bowiem całkiem tego pewna.

- Zatem umowa stoi?

- Stoi.

Uśmiechnęła się do niego kusząco.

- Może przypieczętujemy ją kolejnym pocałunkiem?

Oczy zalśniły mu niebezpiecznie.

- To niemądre, elfie.

- Może niemądre, ale za to przyjemne.

Pokręcił głową.

-Wolałbym, żebyśmy przedtem załatwili wszystko zgodnie z prawem. Najpierw intercyza, potem ślub.

- Apocalfunek?

Namiętność rozgrzała złote oczy Jake'a.

- Kiedy już znajdziemy się w hotelu, w zaciszu własnego pokoju, możesz ich mieć do woli.

Do woli... Wydawało się to zbyt piękne, by było prawdziwe. Wkrótce wyjdzie za Jake'a i będzie się z nim kochać. Podniecenie rosło, a wraz z nim nadzieja, że ich związek okaże się błogosławiony, że będzie mogła wypełnić ciężką mu pustkę i odpędzić dręczące go demony. Odczują wielką radość, która

wyniknie z ich zbliżenia, radość, jakiej żadne z nich dotąd nie znało.

On potrzebuje mnie, a ja jego, powtarzała sobie w duchu.

- Usiądź i przejrzyj te papiery - polecił, kładąc je na stole.

Zajęła swoje miejsce i wzięła dokument, oświetlając go wiszącym obok lampionem. Na szczęście intercyza sformułowana była jasno i zrozumiale. Jake stał nad nią, pilnując, by nie opuściła żadnego słowa. Gdy skończyła, bez zbędnych pytań złożyła podpis i popatrzyła na Jake'a.

- Co dalej?

- Zanim weźmiemy ślub, musimy wypełnić odpowiedni formularz. W bibliotece czeka miejscowy urzędnik z niezbędnymi dokumentami.

- Wobec tego przede wszystkim musimy znaleźć bibliotekę - uśmiechnęła się Wynne.

Kamerdyner wskazał im drogę i za masywnym dębowym biurkiem zobaczyli urzędniczkę zajmującą się ślubną dokumentacją. Z identyfikatora wynikało, że nazywa się Dora Scott.

Wskazała na tabliczkę z napisem: „Przekąska przyspiesza obsługę”.

- Kławo - mruknął rozbawiony Jake. Skinał na kamerdynera i zwrócił mu uwagę na tabliczkę. - Przynieś to, co najlepsze.

Dora usłyszała to i uśmiechnęła się.

- Doceniam ten gest. Czy to ze względów humanitarnych tak wam się spieszy?

Jake oparł się biodrem o biurko.

- Nikt nigdy nie oskarżył mnie o humanitaryzm.

- Zatem pozostaje pośpiech - roześmiała się. - Cóż, przynajmniej wyrwaliście mnie z drzemki. Popatrzmy, co się da zrobić.

Z szybkością przyprawiającą Wynne o zawrót głowy Dora przebrnęła przez formalności. Wypełniając dokumenty, wyjaśniła wszystkie szczegóły, a potem wręczyła im formularze w pięknych, biało-niebieskich kopertach.

- Wręczycie je osobie, u której będziecie chcieli wziąć ślub. Te pozłacane dyplomy są jedynie pamiątką. Możecie je oprawić w ramki, powiesić na ścianie lub przerobić na tarczę do rzutek. Wasza sprawa. Nie są to oficjalne dokumenty, więc nie próbujcie z nimi żadnych sztuczek.

- Nie ma sprawy - powiedział Jake. - Dziękuję za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Wyświadczcie mi jednak pewną przysługę.

- Jasne.

Urzędniczka obdarzyła go przenikliwym spojrzeniem

- Bądźcie szczęśliwi. To wszystko, o co proszę. A teraz zmykajcie już stąd. Czeką kolejna para, której, sądząc po górze przekąsek, spieszy się o wiele bardziej niż wam.

Z dokumentami w rękę Jake i Wynne przeszli do znajdujących się obok saloników przygotowanych na ceremonie ślubne.

- Wygląda na to, że mamy różne możliwości - mruknęła. - Kościelny, cywilny...

- ..lub coś pomiędzy - dokończył za nią chrapliwym głosem Jake. - Co wybierasz?

Zerknęła na niego, zamierzając odpowiedzieć i aż ją zatkało. Stał nieruchomo. Zaciśnął zęby i napiął mięśnie, jakby spodziewał się czegoś strasznego. Z niedowierzaniem pomyślała, że boi się tego, co teraz nastąpi. Widziała to w zmaconym spojrzeniu jasnych oczu oraz twardej linii szczęki. Po tym, co przeszedł do tej pory, to było dla niego najtrudniejsze. Czemu? Co za bolesne wspomnienia kryją się za tym stoickim wyrazem twarzy?

Łzy zakreśliły się jej w oczach. Szybko zamrugała, żeby ich nie zauważył. Nie zaakceptowałaby jej współczucia. Raczej mogłoby go to od niej odstręczyć. Jeżeli zamierzała mu pomóc, powinna przepchnąć go jak najszybciej przez tę ceremonię. Westchnęła. Zawsze marzyła, że do ślubu pójdzie główną nawą kościoła w swoim rodzinnym mieście, a przynajmniej będzie to wzruszająca i pozosta-

jąca w pamięci cicha, skromna ceremonia. Niestety, nawet to okazało się zbyt wygórowanym żądaniem.

- Może weźmiemy ślub cywilny - zaproponowała.

Jake skinął głową z wyraźną ulgą. Poszedł w stronę właściwego salonu, lecz wewnątrz znów zawahał się. Zmarszczył brwi. Wynne rozejrzała się wokół, szukając powodu takiego zachowania Jake'a. Pokój urządzony był w eleganckim, nieco oficjalnym stylu. W jednym kącie stały meble wyściełane bładoniebieskim jedwabiem. Wazon z suchymi kwiatami ozdobił stół z orzecha. Po przeciwnej stronie, przy udrapowanym materią podium, sędzia pokoju kończył bezpretensjonalną ceremonię ślubną.

- Coś nie tak? - szepnęła.

Jake nasrożył się jeszcze bardziej.

- Poszukajmy innego pokoju - powiedział i nie czekając na nią, zawrócił.

Wynne weszła do następnego salonu i oniemiała z zachwytu, czując się, jakby uciekła z mrocznego, zimowego krajobrazu w ciepły, letni wieczór.

Spod beczkowego sklepienia przystrojonego gałązkami cyprysu sączyło się przyćmione światło. Mosiężne wazony pełne świeżych, pachnących kwiatów wytyczały Unię okien. Pośrodku stał ołtarz. W tle słychać było muzykę Vivaldiego. Tak, to było to. Chciałaby wziąć ślub właśnie tutaj. To miejsce było idealne.

- Możemy zajrzeć do innych pokojów... - Zmusiła się, by to zaproponować. - Zobaczymy, co jeszcze jest do wyboru.

- Nie potrzeba - pokręcił głową Jake. - Tu jest dobrze.

Znów przerwali komuś drzemkę i za chwilę starszawy duchowny gestem poprosił, by zbliżyć się do ołtarza. Wynne dostrzegła ich odbicia w szybie. Wyglądali blado i upiornie. Za oknem widać było nocne niebo z gwiazdami i księżycem. W dole połyskiwały lampiony na drzewach.

- Czuję się, jakbym stała między niebem a ziemią - szepnęła, biorąc Jake'a pod rękę.

Duchowny uśmiechnął się, słysząc ten komentarz.

- Prawda? Myślę, że z tego powodu jest to mój ulubiony pokój. Chcecie się pobrać?

- Tak - odparła Wynne, a Jake wręczył odpowiednie papiery.

- Zanim zacznę, muszę poprosić was, żebyście spojrzeli na siebie i starannie rozważyli to, co zamierzacie zrobić - powiedział kapłan. Jego jasnyniebieskie oczy pociemniały. - Małżeństwo jest poważnym sakramentem, którego nie należy zawierać pochopnie. Zatem proszę was, żebyście spojrzeli sobie w oczy i uważnie zbadali swojego partnera. Upewnijcie się, że podejmujecie słuszny wybór.

Wynne odwróciła się i spojrzała Jake'owi w oczy. Zmieniły barwę na kolor ciemnego, gęstego miodu, kryjąc w sobie wszystkie jego emocje. Jest pełen sprzeczności, pomyślała. Zmierzył się z światem z niepokohamowaną agresją, z niewyczerpaną żarliwością. Jego twarz sugerowała próżną naturę, rysy surowość i niedostępność. Wzniósł swoją twierdzę wśród cieni i mroku. Wynne zastanawiała się, jakie to bolesne zdarzenie z przeszłości odwróciło go od światła i ludzkiego ciepła.

A może chciał, by ludzie uważali go za złego, pomyślała ze zdumieniem. Jej by to do głowy nie przyszło.

Uśmiechnęła się do niego zachęcająco. Może i trochę ją onieśmielał, lecz wyczuwała w nim dobroć, którą tak skrzętnie usiłował ukryć. Gdy tylko go ujrzała, odkryła jego wewnętrzną prawość i siłę charakteru. Wiedziała, że będzie doskonałym mężem. Obawiała się, że mężczyzna, którego sobie wybierze, weźmie wszystko na siebie, że ona będzie tą stroną, która tylko bierze. Jake rozproszył te obawy. Zapewni mu jego marzenie, jego spadek i da coś więcej, coś, czego brakowało mu przez całe życie. Da mu miłość.

Zerknęła w stronę kapłana. Czy była pewna swego wyboru? Bez wątplenia! Odpowiedz brzmiała „tak”.

Jake spoglądał to na kapłana, to na stojącą obok niego kobietę.

Strach ścisnął mu żołądek. Czy był pewien swego wyboru? Bez wątpienia? Odpowiedź brzmiała „nie”.

Wynne była pełna niewiarygodnych sprzeczności, łagodna a zarazem zmysłowa. Jej us'miech wystarczał, by zamącić mu w głowie. Stanowiła cudowną i groźną mieszankę ognia i niewinności. Nasrożył się, pojmując nagle, że od chwili gdy stał się mężczyzną, żadna kobieta nie wstrząsnęła nim równie mocno. Już tylko to powinno go otrzeźwić.

Jednak najbardziej niepokoiły go jej oczy -jasnozielone, szczere i otwarte jak u dziecka. Odbijała się w nich wewnętrzna czystość, której obawiał się zbrukać. Co gorsza, jej wzrok zdawał się przenikać wszelkie bariery i docierać do najmroczniejszych zakątków jego duszy. Nie mógł tego pojąć. Skoro go przejrzała, czemu nie odeszła? Zerknął jeszcze raz w te przepastne oczy i to, co zobaczył, zmroziło go.

Mogła zgadzać się na tymczasowy związek, lecz oczy zadawały temu kłam.

- Czy podjęliście już decyzję?

Otworzył usta, by zakończyć tę farsę, zanim zajdzie za daleko, lecz nagle uświadomił sobie, że pytanie nie było adresowane do niego. Najwyraźniej kapłan nie wątpił, że Wynne jest odpowiednią kandydatką, lecz zastanawiał się, czy oblubienica nie będzie żałowała wyboru tak niezwykłego męża. Jake nie był tym wcale zdziwiony.

- Proszę zaczynać - odparła z absolutnym spokojem Wynne.

Jake zawahał się pomiędzy wielkodusznym wycofaniem się a milczącą zgodą i narażeniem Wynne na poniesienie konsekwencji tego nieprzemyślanego kroku. Zgrzytnął zębami. Jak może pozwolić jej na popełnienie takiego głupstwa? Ten związek nie wyjdzie jej na zdrowie. Nie oferuje jej nic, prócz cierpienia. I tak już przysporzył jej wystarczająco dużo upokorzeń...

A co ze spadkiem? - spytał wewnętrzny głos. Jeśli nie poślubi

Wynne, jego szanse na znalezienie w porę odpowiedniej kandydatki spadną do zera. Poza tym, pożądał jej. Chciał ją mieć w domu i w łóżku. W tym momencie pragnął jej równie mocno, jak spadku.

A potem było już za późno, nie miał wyboru. Powiedziała „tak”.

Mówiąc to, usmiechnęła się do niego i jej błyszczące oczy pochwyliły go we wspaniałą zieloną głębię. Odwrócił wzrok i udzielił twierdzącej odpowiedzi ledwo dosłyszalnym głosem.

- Zanim ogłoszę was mężem i żoną, może chcielibyście wymienić obrączki? Mamy je tutaj. To zwykły tombak, więc z czasem możecie wymienić je na prawdziwe.

- Nie trzeba - powiedział Jake i wyciągnął z kieszeni złotą obrączkę. Wybrał w sklepie przeciętny rozmiar, lecz ku jego rozbawieniu była za duża na Wynne, co zmusiło ją do zaciśnięcia dłoni w piastkę. Wcale jej to nie przeszkadzało.

- Jest piękna - szepnęła, - Zachowam ją na zawsze.

- Tylko przez krótki okres naszego małżeństwa - odparł bezlistośnie.

Pokręciła głową, obdarzając go ponownie czarującym, niewinnie uwodzicielskim uśmiechem.

- Nie. Zachowam tę obrączkę na zawsze, ponieważ dała mi to, czego zawsze pragnęłam. - Uniosła w zdumieniu brwi. - No a ty? Gdzie twoja obrączka?

- Nie potrzebuję.

Ich związek miał być krótkotrwały, więc niewart tego symbolu.

W jej oczach dostrzegł zrozumienie, które przerodziło się w bezgraniczny smutek, co w efekcie zupełnie złamało jego obronę..

Kiedy kapłan ogłaszał ich mężem i żoną, Jake zdał sobie sprawę, że napytał sobie biedy.

Wynne kłęczała na dywanie, spoglądając z niesmakiem na drzwi do swojego pokoju. Po raz kolejny wypychała kartę do zamka i za każdym razem zapalała się czerwona lampka.

- Co się stało z kluczem? - mruknęła. - Lubię klucze i one mnie lubią. Przynajmniej otwierają...

Drzwi uchyliły się niespodziewanie i wpadła do środka.

. Wewnątrz stała Laura w szlafroku i koszuli nocnej.

- Bogu dzięki! Usłyszałam twój głos. Już się martwiłam... Co ty właściwie robisz na podłodze?

- Usiłowałam uruchomić ten głupi mechanizm - odparła Wynne, gramoląc się na nogi. Wciąż ścisnęła kartę.

Laura zamarła, widząc dłoń przyjaciółki.

- Masz obrączkę! Zrobiłaś to, prawda? Jesteś mężatką!

- Tak, jestem mężatką - uśmiechnęła się Wynne, kręcąc dłonią i obrączka zalśniła. Zaczęła zsuwać się jej z palca i ledwo zdołała ją złapać. - Och, Lauro, tak się cieszę, że tu jesteś. Zaraz ci o nim opowiem. Jest cudowny. Dokładnie taki, jakiego sobie wymarzyłam.

Laurze łzy napłynęły do oczu.

- Ulżyło mi. Przeżyłam okropną noc, martwiąc się, że jakiś elokwentny łobuz wykorzysta cię. Kim on jest? Co robi? Ile ma lat?

Wynne popatrzyła tępo na przyjaciółkę.

- Nie jestem pewna. Ale na imię ma Jake... Boże drogi, zważywszy na to, że się pobraliśmy, powinnam chyba zapamiętać jego nazwisko - mruknęła. - Mniejsza z tym. Nazwisko jest nieważne.

Laura uśmiechnęła się, łzy gdzieś się ulotniły.

- Nieważne? Nie potrafisz zapamiętać nazwiska własnego męża i uważasz to za drobiazg? - spytała zdumiona.

- Nie. Grunt, że jest doskonały. Absolutnie doskonały. To najśłodszy mężczyzna na świecie... - Zawahała się. - Cóż, szczerze mówiąc, chyba nie jest taki słodki. To nieodpowiednie określenie.

- A jakie jest odpowiednie? - jęknęła Laura.

- Mocny. Silny... - uśmiechnęła się radośnie Wynne. - Twardy jak stal. Pani Marsh nie ma z nim żadnych szans.

- Twardy jak stal? To chyba dobrze - zauważyła z topniejącym entuzjazmem Laura. - Skąd pochodzi?

Wynne wzruszyła ramionami.

- Nie przyszło mi do głowy spytać o to. Chyba gdzieś z południa, sądząc z akcentu, a raczej z tego, jak cedzi słowa.

- Nie wytrzymam! Nie pamiętasz jego nazwiska, nie wiesz skąd pochodzi ani z czego żyje. Nawet nie wiesz, ile ma lat. Czy mi się zdaje, czy tu się coś nie zgadza? - Laura zacisnęła pasek od szlafroka. - Co włas'ciwie wiesz o tym mężczyźnie? Czemu szukał żony?

- Na to akurat mogę ci odpowiedzieć - odparła z ulgą Wynne. - Potrzebował żony, żeby zachować spadek.

- A co to za spadek?

- Nie wiem. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Oczywiście, że ma. A co, jeśli... - Laura urwała i zmrużyła oczy. - Jest coś, o czym mi nie powiedziałaś. O czym?

Wynne zerknęła na przyjaciółkę spod rzęs.

- Wolałabym o tym nie mówić.

- A ja wręcz przeciwnie. - Laura skrzyżowała ramiona. - Powiedz mi, proszę, co ukrywasz?

- Poczekaj, aż go spotkasz. Również ci się spodoba. To dobry człowiek, choć podejrzewam, że gotów się nie zgodzić...

- Nie zgodził się? Wynne! Kogo ty poślubiłaś? Silny, twardy, mocny. Pewnie jakiś brutal. Wciąż jednak nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Co przemilczałaś?

- Niewiele - odchrząknęła Wynne. - A on wcale nie jest brutalnym. To człowiek, który poradzi sobie z panią Marsh, mimo że chce tylko tymczasowego związku.

- Tymczasowy związek? - zdumiała się Laura. - Wydałaś wszystkie pieniądze na tymczasowy związek? Nie do wiary! A co będzie, jak to się skończy? Znajdziesz się w punkcie wyjścia, bez pracy, pieniędzy, bez dachu nad głową. I na co to wszystko? Pani Marsh zwycięży, a ty poświęcasz się na próżno.

- Jake do tego nie dopuści - upierała się Wynne. - Twierdzi, że

nie jest zainteresowany stałym związkiem, ale sędzę, że wkrótce zmieni zdanie.

- Stawiasz wszystko na garść przypuszczeń? Ryzykujesz przegraną.

- Niczego nie stracę - odcięła się ostro Wynne. Chwyciła głębokimi oddech i spróbowała nad sobą zapanować. - Lauro, nie kłóćmy się, proszę. To moja noc poślubna i jestem taka szczęśliwa. Poczekaj, aż go poznasz. Zrozumiesz, czemu jestem taka pewna, że wybrałam właściwego mężczyznę.

- Spędzisz z nim noc? - spytała oskarżycielskim tonem Laura. Wynne skinęła głową.

- Prosił mnie o to, a ja się zgodziłam. Przyszłam po moją torbę z osobistymi rzeczami i sprawdzić, co u ciebie. Wszystko w porządku?

- Och, w idealnym - zapewniła ją Laura. - Ale co z tobą? Może powinnaś...

- Powinnam wziąć torbę i wrócić do męża - zamknęła dyskusję Wynne.

Laura uniosła ręce w górę.

- W porządku, poddaję się. To twoje życie i jak sobie pościesz, tak się wyśpisz.

- Nie złość się - poprosiła Wynne. - Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Ciesz się przez wzgląd na mnie. Marzyłam o tej chwili przez całe życie. Mam niezwykłego męża i perspektywę nowego życia przed sobą.

- Słusznie. Spójrzmy na to z lepszej strony - rzekła sucho Laura. - W razie gdyby to nie wypaliło, masz pretekst do rozwodu.

- Nie ma strachu - zapewniła z cielecym uśmiechem Wynne. - Ja się nie będę uskarżać, tym bardziej Jake.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jake stał przed oknem i spoglądając w rozgwieżdżone niebo, pograżył się w ponurych rozmyślaniach. Zastanawiał się, czy Wynne przyjdzie. Może przez ten czas przemyślała wszystko i uciekła? Nie powinno go to martwić, a jednak... Jego przyszłość wisiała na włosku, zależna od stanowczości, jaką wykaże się mały elf. Zaciśnął pięści. Do diaska! Nigdy w życiu nie czuł się taki zależny od innej osoby.

A to mu się nie podobało.

Rozległo się pukania do drzwi. Nie ciche, i delikatne, lecz wesołe i energiczne staccato. Z uśmiechem satysfakcji otworzył drzwi.

W progu stała Wynne, wpatrując się w niego swymi zielonymi oczami.

- Cześć - powiedziała.

Jake oparł się o framugę. Pod wpływem ciepłego radosnego uśmiechu Wynne jego napięcie opadło.

- Cześć.

- Bałeś się, że się więcej nie pokażę? - spytała, przechylając na bok głowę.

Czyżby potrafiła go przejrzeć ?

- Taka myśl istotnie przeszła mi przez głowę - przyznał niechętnie i odsunął się, by ją wpuścić.

- Wkrótce przekonasz się, że jestem osobą godną zaufania - zapewniła go, z zainteresowaniem rozglądając się po pokoju. - Ponieważ jeszcze mnie nie znasz, miałeś prawo tak sądzić.

- Dziękuję za oświecenie mnie - rzekł sucho, biorąc od niej torbę.

Spojrzała na niego. W jej wzroku kryło się tyle energii i namiętności, że odczuł go niemal fizycznie. Nadal nie przestawał się dziwić, jak bardzo Wynne różniła się od wszystkich kobiet, które znał. Jak tyle żarliwości mogło się zmieścić w tak małej osobce?

- Wzięłaś już prysznic - stwierdziła. - Nie masz nic przeciwko temu, że i ja to zrobię?

- Czuj się jak u siebie. Na drzwiach wisi dodatkowy szlafrok. Możesz go włożyć.

- Dzięki, ale mam koszulę nocną; - Spojrzała na trzymaną przez niego torbę. - Pozwolisz?

- Oczywiście. - Podał ją Wynne. - Nie będzie ci potrzebna, przynajmniej nie na długo.

Zaczerwieniła się gwałtownie i Jake pożałował swojej uwagi. Czasami czuł się tak jak teraz, niczym słoni w składzie z porcelaną. Wynne wzruszyła ramionami, Co wypadło zabawnie w połączeniu z jej zakłopotaniem, i poszła do łazienki.

Z tyłu wyglądała tak młodo i niewinnie. Ramiona przechodziły delikatnie w Unię szyi, wyłaniając się z przyciętych na pazia włosów. Nigdy nie przypuszczał, że kobiecy kark może wyglądać tak bezbroniście. Obudziła się w nim nagła chęć chronienia jej, choć wiedział, że przede wszystkim należałoby ją chronić przed własnym mężem.

Wynne obejrzała się na progu łazienki.

- Właściwie, to miałam spytać o to zaraz po przyjściu - powiedziała. - Jak brzmi twoje... nasze nazwisko? Obawiam się, że zapomniałam.

Jake zacisnął wargi.

- Hondo - odparł i dodał: - To po mojej matce.

Nie wiedział, czy zrozumiała znaczenie tego komentarza, czy też celowo udawała głupią. Może jej to wcale nie interesowało? Pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć, że nie znalazła w tym nic nagannego, w przeciwieństwie do ludzi z Chesterfield.

- Hondo - powtórzyła. Lekki uśmiezek zaigrał na jej wargach.

Jake poczuł ściśnięcie w dołku. - Wynne Hondo - spróbowała. Po-tem roześmiała się. - Nie pasuje do mnie nawet w połowie tak dobrze jak do ciebie. Może za jakiś czas...

Przewiesiła torbę przez ramię i zniknęła w łazience, pozostawiając Jake'a zastanawiającego się nad znaczeniem słów „za jakiś czas”. Powinien być, cholera, jak najkrótszy. Szum wody przerwał te rozmyślenia, uświadamiając mu, że cienkie ścianki nie tłumią praktycznie żadnych odgłosów.

Słyszał, jak zdejmuje suknię i wyobraził sobie jej nagą, delikatną skórę. Wiedział, kiedy weszła pod parujący strumień, wydając przy tym pomruk rozkoszy, równie uwodzicielski jak śpiew syren. Jedyne siłą woli powstrzymał się od tego, by nie dołączyć do niej. Czy protestowałyaby, czy też powitała go z radością? Sięgnął do klamki...

Pewnie jest namydlona, mokra i gładka. Jes'li okaże się chętna, weźmie ją w ramiona i uczyni ją swoją żoną nie tylko na papierze. Nim zdążył wejść, woda przestała płynąć. Zatrzymał się, rozczarowany tyra, że minęła odpowiednia chwila. Pus'cił klamkę i zdążył się wycofać na moment przedtem, zanim Wynne wyszła z łazienki.

Jej widok wyparł z niego dech skuteczniej niż cios w żebra. Podziwiał ją z narastającym pożądaniem i namiętnością, która przekroczyła punkt zwrotny. Powstrzymywała go tylko jedna rzecz...

Strój Wynne.

Jego małżonka stała w progu spowita w cienką jak mgiełka bawełnę. Materiał owinał się wokół niej, jakby pieścił wdzięczne kształty Wynne. Właśnie ta koszula wywarła na nim szczególne wrażenie. Była biała. Olśniewająco biała, śnieżnobiała, dziewiczo biała, barwa równie nieskalana jak kobieta, która ja. włożyła. Trzej mężczyźni, przypomniawsobnie niechętnie. Mówiła o trzech.

Pokręcił niedowierzająco głową. Nie, to niemożliwe. Gdyby któryś się z nią kochał, nie zostawiłby jej.

Podeszła bliżej. Światło lampy z mijanego przez Wynne stolika podświetliło jej zarys. Jake omal nie zerwał się na równe nogi, bo

tak erotycznego zjawiska nigdy jeszcze nie widział. Mimo drobnej budowy, miała bardzo kobiecą sylwetkę. Wąska talia przechodziła w zaokrąglone biodra, z tyłu rysowały się kształtne pośladki. Piersi napinały tkaninę, odznaczając się ciemniejszymi punktami brodawek. Jake ze stłumionym okrzykiem oderwał wzrok od wcielenia pokusy i niewinności.

Wynne stała, wpatrując się w niego czujnie swymi wielkimi oczami. Włosy zawilgocone pod prysznicem połyskiwały lekko. Jake nie mógł wykrztusić słowa, lecz po prostu wyciągnął ku niej rękę. Po chwili wahania podała mu swoją.

- Już wiem, czemu wolałaś włożyć koszulę nocną zamiast szlafroka - odezwał się głosem matowym z pożądania. - Jest bardzo wyzywająca.

- Naprawdę? - Zerknęła w dół, ściągając razem brwi. - Zawsze wydawała mi się skromna.

- Twoje wyobrażenie o skromności musi bardzo różnić się od mojego - zachichotał. Przyciągnął ją do siebie i przesunął palcami po jej piersi, drażniąc delikatnie brodawki.

Podniosła gwałtownie głowę i popatrzyła na niego zielonymi oczami, które pociemniały jak gęsty las. Zwilżyła wargi.

- Czy możemy zgasić światła? - spytała.

- Chcę patrzeć na ciebie, kiedy będziemy się kochać.

Nie spierała się. Pobladła lekko.

- Nie podejrzewałam, że będę taka zdenerwowana - wyznała.

- Trochę się trzęsę. Czy nie moglibyśmy jednak zgasić światło? Tylko tym razem.

Jake zacisnął usta i puścił ją na chwilę, by sięgnąć do wyłącznika. Pokój pograżył się w mroku rozjaśnionym jedynie słabym światłem zachodzącego księżyca.

- Lepiej?

- O wiele, dziękuję.- Niczym biała zjawa przeszła przez pokój.

- Czy mogę... czy mogę wejść do łóżka?

Jake powstrzymał się od kąśliwej uwagi, czując, że coś jest nie w porządku. Jednak narastające pożądanie nie skłaniało do drobiazgowej analizy sytuacji.

- Jasne, wskakuj do łóżka, jeśli to ci odpowiada.

- Właściwie, to chce mi się pić - powiedziała, zwracając w stronę łazienki. - Myślę, że...

Zastąpił jej drogę. Oddech Wynne stał się nieco nerwowy. Jake nie czekał, tylko zamknął jej usta chciwym pocałunkiem. Bardziej wyczuł, niż usłyszał słaby protest. Wynne zeszytniała i nie odwzajemniła pocałunku równie żarliwie jak na Balu Kopciuszka.

Spojrzał jej w oczy.

- Odpręż się - mruknął, przesuając kciuk po policzku. - Pragniesz tego równie mocno, jak ja.

- Tak mi się zdawało - odparła bez przekonania. - Jednak nie jestem tego całkiem pewna.

- Wkrótce zmienisz zdanie.

Znów ją pocałował i przyciskając mocniej do siebie, pieścił skryte pod cienką bawełną kształty. Poprzednie opory i skrupuły, jakie miał w stosunku do niej, rozwiały się w obliczu nieodpartej żądzy. Pragnął miłosnego połączenia się z trzymaną z ramionach kobietą. Należała do niego, a on przywykł korzystać ze swej własności.

Rozpiął górę koszuli i obnażył jej piersi. Światło księżycy prześlizgnęło się po białej skórze, tworząc powabne cienie pomiędzy wypukłymi okrągłościami. Jake z westchnieniem pochylił głowę, by posmakować tych doskonałości.

Wynne zadrżała. W milczeniu uniosła rękę, by pogłodzić włosy Jake'a. Błysk ślubnej obrączki wyrwał go z erotycznego transu. Oderwał się od Wynne i po raz pierwszy od jej wyjścia z łazienki przyjrzał się jej uważnie.

To, co zobaczył, zmroziło go.

Samotna łza spływała po jej policzku. Cofnął się zdegustowany. Tymczasem, pomimo uczucia niesmaku, wszystko w nim rwało się

wręcz, by dokończyć to, co zaczął i odcisnąć na niej swój znak własności. Nigdy nie uważał się za szlachetnego, honorowego czy choćby przyzwoitego człowieka. Dowiódł tego nawet dziś wieczorem. Jednak widok szeroko otwartych, nieruchomych oczu Wynne, jej akceptacja niechcianej sytuacji - onieśmieliły go.

Co zrobił najlepszego, żeniąc się z takim kimś?

Cofnął się o krok, potem o kolejne, aż odsunął się od niej tak daleko, jak to tylko możliwe.

- Wskakuj do łóżka - odezwał się ochrypłym szeptem.

Wynne wciąż nic nie mówiąc, poprawiła na sobie koszulę nocną i usłuchała go. Wgramoliła się na materac, a Jake już wiedział. Nie dotknie jej, bo mógłby ją skrzywdzić. Nie teraz. Nawet, jeśli oznaczałoby to utratę spadku.

Zmusił się do odwrócenia w stronę okna i zaczął się wpatrywać w otaczającą hotel ciemność pustyni. Z wolna piękno krajobrazu uspokoiło go i pozwoliło nieco odzyskać panowanie nad sobą. Tylko najsilniejsze i najbardziej zacięte jednostki potrafiły przeżyć w tej niegościnnej części kraju, tacy jak on w latach trudnego dzieciństwa. Przeżycie zawdzięczał wyłącznie samemu sobie. Aż do dziś.

- Jake...

- Śpij, elfie - odparł, nie odwracając się. - Porozmawiamy rano.

Usłyszał szelest prześcieradeł, potem Wynne podeszła do niego i zimna dłoń przesunęła się po jego ramieniu.

- Czy zrobiłam coś nie tak?

Zaśmiał się ponuro.

- Owszem. Wyszłaś za mnie.

- Wcale nie - zaprotestowała. - Małżeństwo z tobą było najmądrzejszą rzeczą, jaką zrobiłam w życiu.

Odwrócił się i złapał ją za ramiona.

- Nie rozumiesz? Przed chwilą omal cię... omal cię... - Nie mogło mu to przejść przez gardło. Nie potrafił przyznać się do tego, że o mały włos nie popełnił podłości.

- Nie mów tak - zaprotestowała, kładąc mu dłoń na ustach.
- Nie zrobiłeś niczego złego. Jestem twoją żoną, pamiętasz? Nie możesz mnie skrzywdzić.

- Jeżeli naprawdę tak sądzisz, pakujesz się w niezłe tarapaty - ostrzegł ją, odsuwając się. - Lepiej się do mnie nie zbliżać, zwłaszcza w tej chwili. Żona, czy nie żona, nie można mi teraz ufać.

- Nie bądź śmieszny - upierała się. - Zaufałam ci całym moim życiem. Połóż się ze mną do łóżka. Nie chcę spać sama w noc poślubną.

- Chyba nie rozumiesz, o co mnie prosisz. - Pokręcił głową.

- Pewnie nie, ale chodź. - Przechyliła na bok głowę i uśmiechnęła się drżącymi wargami, starając się zatrzeć wrażenie uprzednich łez. - Obiecuję, że cię nie wykorzystam.

Jake nie dyskutował dalej, tylko wziął żonę na ręce i zaniósł do łóżka. Ułożywszy ją wygodnie, chciał wrócić na swoje stanowisko przy oknie, lecz okazało się to niemożliwe. Zdjął szlafrok i wsunął się pod prześcieradło. Chciał ponad wszystko wziąć ją w ramiona, jednak obawiał się, że napyta sobie biedy. Przed chwilą ledwo co zdołał powstrzymać się, ale wiedział, że drugi raz nie zdoła się opanować.

- Jake?

- Jestem tu - szepnął cicho. - Spróbuj zasnąć.

- A co z umową, że małżeństwo zostanie skonsumowane?

- Zapomnij o tym - powiedział, zasłaniając ręką oczy. - To było nierozsądne żądanie.

- Skoro tak twierdzisz. Gdybyś jednak zmienił zdanie...

- Nie zmienię.

Na dłuższą chwilę zapanowała cisza.

- Jake?

- Co?

- Naprawdę się cieszę, że za ciebie wyszłam.

Z trudem przełknął ślinę.

- Ja również, elfie. Ja również.

Jake obudził się w tym dziwnym momencie, gdy czerń nocy zaczęła ustępować pierwszym oznakom brzasku. Najpierw nie mógł zorientować się, co mu przeszkadza. Z boku dobiegło go delikatne sapnięcie. Obejrzał się. Wynne spała zwrócona twarzą w jego stronę. Natychmiast oprzytomniał..Był żonaty, choć przysięgał sobie unikać tego jak ognia, a śpiąca obok kobieta to jego żona. Zgrzytnął zębami, wymyślając sobie w duchu od idiotów. O czym myślał, żeniąc się z kimś tak nieodpowiednim? Chyba postradał zmysły.

Wynne wyszeptała jakieś imię, zapewne jego. Uniósł się na łokciu, przyglądając się jej. Rozkopała się przez sen i koszula nocna okręciła się jej wokół bioder. Miała piękne nogi, smukłe i lekko umięśnione, które aż prosiły się dotknięcia. Uległ ich pokusie, przesuwając delikatnie dłońią po udzie, gładząc krągłość biodra.

Wynne poczuła się szczęśliwa.

Jake zamknął oczy. Znow opanowała go gwałtowna żądza. Pragnął jej równie mocno, jak ubiegłego wieczoru. W końcu, do cholery, była jego żoną. Mógł ją posiąść i nikt, łącznie z oblubienicą, nie mógłby mieć mu tego za złe. Ale zrobić to, kiedy spała i nie mogła zaprotestować...? Musiałby być skończonym łajdakiem. Niewyobrażalnym wysiłkiem woli cofnął rękę i otworzył oczy.

Wynne przyglądała mu się zaspanym wzrokiem.

Była zadowolona i Jake usiłował ukryć pożądanie, przybierając obojętny wyraz twarzy. Bezskutecznie. Wynne gwałtownie wciągnęła powietrze. Jej zielone oczy ani drgnęły, błysnęła w nich isierka nadziei i podsunęła się bliżej, w pierwsze promienie poranka. Rozjaśniły jej włosy i zabarwiły skórę na różowo.

Uśmiechnęła się wstydliwie.

- Dzień dobry, panie Hondo.
- Dzień dobry, pani Hondo - odparł markotnie. - Jak się spało?
- Dobrze. Dzięki, że do mnie dołączyłeś. Bałam się, że tego nie zrobisz.
- Niewiele brakowało.

- Czemu zmieniłeś zdanie?
- Prosiłaś tak ładnie. Jak mógłbym odmówić'?

- Uśmiechnęła się i odgarnęła włosy z czoła. Ten nieprzemyślany ruch sprawił, że koszula nocna rozchyliła się, odsłaniając piersi. Były cudowne - blade i okrągłe, z brzoskwiowymi brodawkami. Nie mógł się powstrzymać i dotknął jednej z nich, spodziewając się protestu. Nic takiego. Jediną reakcją Wynne było zduszone westchnienie. Oczy jej pociemniały.

Spojrzała na jego dłoń. Brązowa skóra ostro odcinała się od błądności piersi. Chwila trwała długo, wreszcie Jake skarcił się w duchu za to, że znów stracił panowanie nad sobą. Mnąc przekleństwo, cofnął rękę.

- Nie przestawaj - poprosiła nies' miało.
- Nie żartuj.
- Już się nie boję.

Usiadł prosto i odezwał się ostrzegawczym tonem:

- Jeśli nie przestanę, znów zaczniesz się bać. Ręczę za to.
- Nie skrzywdzisz mnie.
- Nie? - Roześmiał się gorzko z jej naiwności. - Nie jestem

zdolny do niczego innego.

- Inni może w to wierzą, ja nie. - Pogłaskała jego napięte ramię. Kiedy nie protestował, przysunęła się bliżej, pokrywając pocałunkami szorstki policzek.

- Przestań - zdołał jedynie wycedzić przez zęby.
- Chciałam ci tylko pokazać, że się nie boję.
- Naprawdę? - Bardzo łatwo byłoby wyprowadzić ją z błędu.

Jego wątpliwości zmniejszyły się. Może gdyby to zrobił, raz na zawsze wyjaśniłaby się sytuacja pomiędzy nimi. Nie zwlekał ani chwili. Jednym ruchem cisnął ją na wznak i przygniótł swoim ciałem. Dzieliła ich tylko cieniutka bariera koszuli nocnej, równie krucha, jak jego opanowanie.

- Boisz się teraz?

Pokręciła głową, lecz pewność siebie nieco stopniała.

- A powinnaś.

Cień przysłonił na chwilę pogodną twarz Wynne, lecz zaraz ustąpił miejsca wyrazowi bezgranicznego zaufania.

- Potrzebuję cię, Jake. - Przyciągnęła jego głowę bliżej. - Tak samo, jak ty potrzebujesz mnie.

Znów obudziło się w nim dzikie zwierzę, błysnęło w złotych oczach.

- Czemu to robisz? - warknął. - Nie rozumiesz? Nie pojmujesz? Ten ślub nie powinien mieć miejsca. Przy mnie nikt nie jest bezpieczny.

- Czyżbyś chciał mnie skrzywdzić? - spytała, nie kryjąc zdumienia. - Krzywdzenie innych sprawia ci przyjemność?

Naprężył mięśnie.

- Nie.

- Więc tego nie rób.

- To nie takie proste.

- Naprawdę? - Drugą ręką pogładziła go po grzbiecie.

Jake zaczął gwałtownie oddychać, chwycił ją za rękę.

- Nie dam rady... Nie wytrzymam. Cholera, igrasz z ogniem.

- Chyba tak. Jeśli powiem, że mnie boli, przestaniesz?

Sapał przez chwilę, jakby odpowiedz' nie mogła przejść mu przez gardło.

- Tak - wydusił wreszcie.

Uśmiechnęła się tak promiennie, że zapomniał o całym świecie.

- W takim razie zawieramy umowę. Ja zachowam się tak samo, zgoda?

Nie dowierzając własnym uszom, parsknął śmiechem.

- Nie mówisz chyba serio.

- Całkiem poważnie. - Popatrzyła na niego szczerym spojrzeniem. Jej wzrok sięgnął aż do głębi jego duszy, zakładając, że miał coś godnego tej nazwy. Wreszcie powiedziała coś, co go powaliło.

- Ufam ci, Jake.

Tak po prostu i zwyczajnie. Tak niewinnie i ufnie. Pocztał, jak rozsypuje się mur ochronny, który wznosił wokół siebie przez lata.

Pragnął jej od chwili, gdy ją ujrzał. Oczywiście było to zwykłe fizyczne pożądanie, dzikie i pierwotne. Nie próbował ukryć tego przed sobą, nie należał do ludzi owijających rzeczy w bawełnę. Wręcz przeciwnie, zawsze był bezceremonialny i szczery, zarówno wobec siebie, jak i wobec kobiet. Brał, co chciał, nie zastanawiając się nad późniejszymi konsekwencjami. Stanowiło to jego ideologię.

Ale w przypadku Wynne...

Nie mógł, nie potrafił wziąć jej z taką samą beztróską, z jaką brał inne. Była absolutnie odmienna od kobiet, które znał. Wszystkie dobrze wiedziały, o co chodzi i gdy którejś przychodziło do głowy zmienić jego zamiary, szybko przywracał ją do rzeczywistości.

- Jake?

Usiłował zebrać całą siłę woli. Nie pamiętał, czy zrobił w życiu coś wzniosłego lub szlachetnego, co pomogłoby mu się teraz zmobilizować.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie.

- Jeśli będziesz chciała, żebym przestał, powiedz tylko słowo.

- Miał nadzieję, że wytrzyma. Ostrożnie przycisnął ją do siebie.

- Zrób coś jednak dla mnie.

- Co takiego?

- Nie zwlekaj zbyt długo.

Roześmiała się podniecająco.

- Obiecuję.

- Mam nadzieję, że poważnie traktujesz obietnice - mruknął i pocałował ją z niepoohamowaną namiętnością.

Skończył przemowy. Jeśli ją przestraszył, nadeszła pora, by przekonać się, dokąd zdoła się posunąć, zostawiając ją nietkniętą. Wynne nie odepchnęła go, a wręcz przeciwnie, odwzajemniła pocałunek.

Była zgubiona. Zatraciła się w zmysłowości jego ust, języka i pieszczot. Wciąż leżała na wznak, koszula zadarła się jeszcze wyżej, a przód rozchylił głębiej. Wszędzie były ręce Jake'a, badające jej nagą skórę.

- Za dużo ubrania - mruknął i unióś ją lekko.

Nie dzieliło ich już nic.

- Jake... - wyszeptała zduszonym głosem. - Proszę...

- To ja cię proszę. Powiedz mi, że też tego chcesz. Jaka jest twoja ostateczna decyzja, żono?

- Czekaj... -jęknęła zmieszana, czując, że przecież nie o to jej chodzi. Wszystko się pomieszało. Słowa straciły sens. Liczył się tylko Jake.

- Mam przestać? - wściekł się. - Nie przeciągaj struny!

Uniosła głowę.

- Nie. Nie przestawaj. - Wreszcie odnalazła właściwe słowa. Z siłą, która zdumiała ją samą, pociągnęła go na siebie, układając się tak, by łatwiej przyjąć jego ciężar. - Nie przestawaj za nic na świecie.

Pocałował ją, by zaraz przesunąć usta wzdłuż jej ciała. Pieścił językiem wszystkie krągłości, smakując skórę Wynne niczym egzotyczny owoc. Po tych dotknięciach zostawał palący ślad, gdy docierał do miejsc nie oglądanych przedtem przez żadnego mężczyznę. Drżała bezradnie, podczas gdy Jake podsyczał i rozpalał coraz silniej ten ogień, tak że stawał się coraz gorętszy. Pożądanie przemieniło się w nienasycenie, głód rozkoszy nie dający się porównać z niczym, co znała do tej pory.

- Jake - wyszeptała, prosząc, błagając o zaspokojenie.

- Już, kochanie, zaraz.

Jego ręce wciąż krążyły, doprowadzając jej zmysły do granic wytrzymałości. Kiedy poczuł, że doprowadził ją do kresu, przesunął się między jej uda. Przez nie kończącą się chwilę leżała pod nim, drżąc w oczekiwaniu niezmiernie rozkoszy. Wówczas wszedł w nią jednym, mocnym pchnięciem.

Znieruchomiał, natrafiając na nieoczekiwaną przeszkodę. W oczach zalśniły mu złowrogie błyski.

- Co do...?

- Wszystko w porządku - próbowała go zapewnić. - Proszę, Jake.

Czy nie rozumiał? Ból był niczym w porównaniu z chęcią połączenia się z nim. Rozpaczliwie pragnąc go o tym przekonać, uniosła biodra w górę, błagając tym gestem o dopełnienie aktu. Mimo to Jake chciał się wycofać i Wynne z przerażeniem obserwowała, jak toczy wewnętrzną walkę, starając się pohamować najsilniejszy instynkt.

Była to walka z góry skazana na niepowodzenie.

- Nie mogę -jęknął. - Bóg mi świadkiem, że nie potrafię....

Wydychając gwałtownie powietrze, wdarł się w nią do końca.

- Wybacz mi, elfie - powiedział bez tchu. - Nie myślałem, że do tego dojdzie.

Oboje nagle zatracili się bez pamięci w mistycznym doświadczeniu stapiającym w jedno serca, ciała i dusze. Kiedy słońce opromieniło swym blaskiem parę kochanków, znaleźli słodkie ukojenie.

Wynne nie wiedziała, ile czasu upłynęło ani jak długo leżeli wtuleni w siebie. Kiedy namiętność wreszcie ucichła, powrócił rozsądek. Pierwszy otrząsnął się Jake.

- Byłaś dziewicą - stwierdził oskarżycielskim tonem, uwalniając się z jej uścisku.

Szybko owinęła się prześcieradłem, choć nie powodowała nią skromność.

- Myślałam, że tego nie zauważysz.

- Myślałaś, że nie... - Wściekłość szła w zawody ze zdumieniem. - Więc daję ci słowo, że zauważyłem!

- Czy to w końcu takie ważne?

Jake wstał, podnosząc z podłogi szlafrok.

- Omawialiśmy to wczoraj wieczorem na balu u Montague - powiedział, wsuwając ręce w rękawy. - Mówiłem ci wyraźnie, że nie chcę za żonę dziewicy.

- Cóż, sprawa na szczęście jest już nieaktualna - zarumieniła się Wynne.

- Nie łap mnie za słówka, dobrze? Cholera, nie chcę być wrobiony w dziewicę. Nie wiem, co z taką należy robić.

Spojrzała na niego z szelmowskim usmiechem.

- Zaręczam, że to, co zrobiłeś, bardzo mi odpowiada. Jak już mówiłam... ta kwestia sporna już nie istnieje.

- Nie o to mi chodzi! - Jego gniew przypominał pędzący przez pustynię huragan. - Okłamałaś mnie! Powiedziałaś, że byłaś trzy razy zaręczona!

- Wcale nie skłamałam, naprawdę miałam trzech narzeczonych.

- I żaden z nich...? Nigdy...?

- Żaden - wyznała.

- To przechodzi wszelkie pojęcie - mruknął i skrzywił się lekceważąco. - W niczym jednak nie zmienia faktu, że potrzebuję doświadczonej kobiety. Takiej, która wyzna przed sądem, że ja... że my...

- Że my, co?

Rozległo się głośne walenie do drzwi.

- Ciociu Wynne! Ciociu Wynne! Obudź się!

- A cóż to znów do diabła? - nasrożył się Jake. - Coś, o czym powinienem wiedzieć?

Wynne nerwowo odkaszlnęła. Naprawdę chciała mieć więcej czasu, by go na to przygotować. Podejrzewała bowiem, że niezadowolenie Jake'a z jej dziewictwa okaże się niczym w porównaniu z tym, co zaraz do niego dotrze. Zebrała się w sobie i spróbowała uśmiechnąć.

- To - oświadczyła - jest mój spadek.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Woląc nie oglądać reakcji Jake'a na jej słowa, Wynne wyskoczyła z łóżka i owinęła się prześcieradłem. Odryglowała drzwi i uchyliła je o centymetr.

- Cześć, brzdącu - uśmiechnęła się do chłopca rozpartego w prog. - Wczesnie wstałeś,

- To nie ja - wykrzywił się pogardliwie Buster, wyciągając zza pleców młodszego chłopca. - To Chick. Przeraził się, kiedy rano nie mógł ciebie znaleźć.

- No a Laura? - zatroskała się Wynne. - Przecież była z wami.

- On nie chce Laury - wzruszył ramionami Buster.

Przyjrzała się uważniej młodszemu i uśmiechnęła się do niego, nie zdziwiona widokiem tkwiącego w buzi kciuka.

- Jak widzicie, teraz jestem tutaj. Dajcie mi minutką na ubranie się, zanim wpuszczę was, żebyście poznali waszego nowego wujka, zgoda?

To wzbudziło pewne zainteresowanie.

- Wujek? - spytał podejrzliwie Buster, spoglądając znacząco na brata. - Czy mamy jakiegoś wujka?

- Poślubiłam go wczoraj wieczorem. Pamiętasz, jak mówiłam wam, że tak się być może stanie? Zaczekajcie tu.

Postanowiła nie przedstawiać chłopców Jake'owi, póki nie będzie miała na sobie czegoś odpowiedniejszego niż prześcieradło. Zostawiwszy uchylone drzwi, sięgnęła po torbę. Zerknęła nerwowo na Jake'a. Stał tyłem do okna, z rękami założonymi na piersiach. Wyraz jego twarzy nie wróżył niczego dobrego.

Przemknęła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi. Niedobrze. Oparła się o zimną, pomalowaną ścianę i przygryzła dolną wargę. Ile zdołał usłyszeć, i jak bardzo był ws'ciekły? W obu przypadkach aż nadto, pomyślała. Jeżeli prawidłowo odszyfrowała błyski w jego oczach, był naprawdę rozjuszony.

Nie wyszło tak, jak sobie planowała - z wyjątkiem małżeństwa i nocy poślubnej. Już to samo przerastało jej najs'mielsze marzenia. Wcisnęła mocniej ślubną obrączkę na palec, błysnęła odbiciem w lustrze nad umywalką. Postawiła torbę i podeszła bliżej, chcąc sprawdzić, czy przez te kilka godzin zmieniła się jakoś.

Włosy miała wzburzone, jak po szybkiej jeździe kabrioletem. Lekko podkrążone oczy lśniły głęboką zielenią, wzmocnioną błyskami szczęścia. Wyglądała, jakby znalazła klucz do tajemnicy wszechświata. Może to i prawda. Z pewnos'cią w ramionach Jake'a odkrywała nie znane światy.

Rozchyliła prześcieradło, odsłaniając zaczerwioną skórę, ślad po dotknięciu Jake'a. Jego znak własności. Przełknęła ślinę, przypominając sobie, jak ocierał się nie ogolonym policzkiem o jej nagie piersi.

Trzech narzeczonych wyteęzało po kolei wszystkie siły, by zważyć ją do łóżka i nic im z tego nie wyszło. A Jake... Żadnego uwodzenia, żadnych podchodów. Ten namiętny mężczyzna o złotych oczach sprawił, że zapomniała o całym s'wiecie. No i proszę, do czego ją to doprowadziło - ślub i łóżko.

Czy to był błąd? Bez wahania pokręciła głową. Nie popełniła żadnego błędu. Wybrała wojownika zdolnego pokonać panią Marsh, i męża, który sprawił, że zawsze będzie wspominała chwilę, w której została prawdziwą żoną.

- Rusz się, elfie. - Jake zapukał do drzwi. - Nie możesz wiecznie się tam chować. Wsuń swój nosk i wypij to piwo.

Tyle pięknych wspomnień, westchnęła.

W rekordowym tempie wzięła prysznic i ubrała się. Uczucie

szczęścia przeważało nad obawami. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były najwspanialsze w jej dotychczasowym życiu. Przyszłość rysowała się równie cudownie.

Marzenia prysnęły, gdy tylko wyszła z łazienki.

- Kim jest, do diabła, ten dzieciak za drzwiami? - zagrzmiął Jake.

Zanim odpowiedziała, obdarzyła go przeciągłym spojrzeniem. Jake też się ubrał. Obcisłe dżinsy podkreślały mocne uda. Jeszcze większe wrażenie zrobiła na niej rozpięta koszula, odsłaniająca ciemny zarost.

- To mój siostrzeniec.

Jake zmrużył oczy.

- Co ten malec ma wspólnego z twoim spadkiem?

Wynne rzuciła okiem w stronę drzwi; wiedząc, że chłopcy nie przegapią żadnego słowa.

- To on jest moim spadkiem, ale... - Zawahała się, pragnąc z jednej strony wyjaśnić wszystko mężowi, z drugiej martwiąc się o pozostawionych przed drzwiami malców. Wiedziała z doświadczenia, że nie należy pozostawiać ich samych. Dziwiła się nawet, że nie stracili jeszcze cierpliwości i nie wtargnęli do pokoju. - Czy nie moglibyśmy omówić tego później?

- Nie, omówimy to natychmiast.

- To może zrobimy to szybko? Chłopcy czekają.

- Dobra. Czas ucieka - powiedział i nasrożył się. - Powiedziałaś chłopcy. Jacy znowu chłopcy? To jest ich więcej niż jeden?

- Jest ich dwóch. Buster i Chick. - Ruszyła w stronę drzwi. - Słuchaj... to dzieci mojej siostry. Zginęła wraz z mężem rok temu i jestem ich opiekunką. Tak przynajmniej stanowi testament Tracy. Niestety, pani Marsh, ich druga ciotka, robi wszystko, by przejąć prawa do opieki nad nimi. Więc wyszłam za ciebie, żeby jej w tym przeszkodzić. W porządku?

Nigdy nie dowiedziała się, co chciał odpowiedzieć Jake. Roz-

legło się ponowne pukanie i Wynne otworzyła drzwi, zanim mąż zdołał zaprotestować. Ulżyło jej, gdy stwierdziła, że chłopcom towarzyszy Laura.

- Najwyższy czas - burknęła, wchodząc do pokoju. - Jeszcze chwila, a zawróciłabym z tą dwójką. Nie mam pojęcia, jak sami znaleźli wasz pokój.

- Pytaliśmy w recepcji - wyjaśnił Buster. - Nie chcieli nam powiedzieć, dopóki nie uszczypnąłem Chicka, a ten się rozryczał.

Chick w odpowiedzi pociągnął nosem i wytarł go brudną piąstką.

- Może ktoś mi wyjaśni... - Jake postąpił krok w ich stronę, a cztery pary oczu spojrzały nań badawczo. - Co się tu do diabła wyprawia?

Laura popatrzyła z przerażeniem na Jake'a.

- Wynne, powiedz mi, że to nie jest twój mąż.

- Oczywiście, że to mój mąż - nachmurzyła się Wynne. - O co chodzi?

- Och, nie. Nic z tego nie wyjdzie.

- Nareszcie ktoś się ze mną zgadza. - Jake z satysfakcją skrzyżował ręce na piersi.

- Czemu nic z tego nie wyjdzie? - zapytała Wynne. Popatrzyła na męża, szukając jakichś śladów poprzedniej nocy. Nie dostrzegła nic. Był równie doskonały jak w chwili, gdy ujrzała go po raz pierwszy.

- To teksańczyk! - oświadczyła Laura tonem, który miał wszystko wyjaśnić. - Poznam ten akcent wszędzie.

- Zaraz, chwilczkę - zgrzytnął zębami dotknięty do żywego Jake. - Co masz przeciwko teksańczykom?

- Właśnie - powtórzyła Wynne. - Co masz przeciwko teksańczykom?

- Co mam przeciwko nim? - Laura złapała przyjaciółką za ramię i zaciągnęła w kąt pokoju. - Postradałaś zmysły? - szepnęła

z wściekłością. - Łapiąc na łąso teksańczyka, przyciągasz same kłopoty.

- Nie bądź śmieszna - roześmiała się Wynne, - Jake nie sprawia najmniejszych kłopotów. Pomoże.

Jake popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Uwierz mi, żono - oznajmił ponuro. - Jak tylko zostaniemy sami, dostarczę ci cholera... wielką furę kłopotów. Okłamałaś mnie, a ja nie toleruję kłamstw.

- Nie skłamałam.

- Zatem pominęłaś milczeniem istotne fakty. Dla mnie to wcale nie różni się od kłamstwa.

- Pominęłam tylko drobne szczegóły - westchnęła.

- Te szczegóły na temat twego spadku mają ręce, nogi i głowy. Czemu mi o tym nie powiedziałaś ubiegłej nocy? - Przygwoździł ją wzrokiem. - Powiem ci dlaczego. Bo wiedziałaś, że odejdą. Cholera, pewnie uciekałbym biegiem.

- Nic straconego - ucieszyła się Laura.

- Wszystko gra - upierała się Wynne, wpatrując się w chłopców. Próbowała uśmiechem rozwiać ich obawy. - Jake i ja musimy tylko porozmawiać na osobności.

- Przyniesie to same korzyści - parsknęła Laura. - Nigdy w życiu nie dogadasz się z teksańczykiem. Będzie warczał na ciebie i straszył konsekwencjami. Już ja swoje wiem. Miałam nieszczęście wyjść za jednego z nich. - Zmierzyła Jake'a nienawistnym spojrzeniem.

- O, rany! - mruknął z niesmakiem Jake.

- Tylko spójrz na niego - nie dawała za wygraną, Laura. - W razie gdybyś nie zauważyła, to jeden z gatunku twardzieli. Bardziej rabuś niż rycerz. Założę się, że na śniadanie chrupie gwoździe, na obiad podeszwy, a przegryza kulami.

- W mojej obecności nie zjadł żadnej kulki - odparła spokojnie Wynne. - Chyba że stanowiły część nadzienia tortu czekoladowego.

- Nie stanowiły - zapewnił Jake.

- Wiesz, co myślę? - warknęła Laura, nie spuszczać wzroku z Jake'a. - Zrobi z ciebie nadzienie do kurczaka. A co z chłopcami? Czy wiesz, jaki będzie miał wpływ na Chicka i Bustera?

- Zły - przyznał Jake.

- Fatalny - zgodziła się z nim Laura. - Dlatego proponuję unieważnienie małżeństwa. Znajdziemy jakiś inny sposób na panią Marsh.

- Nic z tego.

- Nie ma mowy.

Wynne uśmiechnęła się do męża, zadowolona z poparcia.

- Widzisz? Jest słowny. Obiecał mi pomóc zachować mój spadek i to właśnie robi. Zaskoczył go jedynie przedmiot spadku.

- To nieporozumienie stulecia - powiedział Jake.

- A skąd wiesz, że gdy pojawi się pani Marsh, nie czmychnie tak samo, jak pozostali? - nacierała Laura.

- Bo zawarliśmy umowę. - W głosie Wynne słychać było absolutną pewność. - Ma dość honoru, by nie zostawić nas na pastwę pani Marsh. Prawda, Jake?

Zamknął oczy i potarł kciukiem czoło.

- Wiedziałem, że powinienem uciec, gdy tylko cię ujrzałem. Czemu tego nie zrobiłem?

- Ponieważ potrzebujemy się nawzajem - uśmiechnęła się rozbrajająco Wynne.

- Nie. - Błysnął złotymi oczami. - Po prostu myślałem niewłaściwą częścią ciała.

- Wynne... Wycofaj się z tego małżeństwa, dopóki nie jest za późno - błagała Laura.

- Nie mogę. Jeśli go zostawię, straci swój spadek.

- No to co? Bóg z nim. Jest twardy i silny. Poradzi sobie.

- Tego jestem pewna - przyznała z usmiechem Wynne.

- Po co pakujesz się w to wszystko - naciskała Laura. - Wiesz, że popełniłaś błąd. On cię nie potrzebuje. Tacy nie potrzebują nikogo.

- I tu się właśnie mylisz. Może o tym nie wie, ale ja mogę dać mu to, czego mu brakuje.

- Ocknij się -jęknęła zrozpaczona Laura. - Zobacz, ile stracisz, wiążąc się z nim. Jeśli nie chodzi ci o siebie, pomyśl przynajmniej o chłopcach.

Wynne rzuciła przyjaciółce krótkie spojrzenie.

- Myślę o chłopcach. Są moją największą troską. Potrzebują mężczyzny, kogoś, kto stworzy im odpowiedni wzorzec, człowieka, który zapewni im ochronę. - Zerknęła na Jake'a. - On jest akurat tym, o którego mi chodzi.

Drgnął jak pod wpływem nagłego ciosu.

- Nie wiesz, o czym mówisz.

- Nie? - Nagle podjęła decyzję. - Lauro, zabierz dzieci do pokoju. Jake i ja musimy porozmawiać na osobności. Dołączę do was, gdy tylko będę mogła.

- Mam cię zostawić sam na sam z tym... teksańczykiem? - Laura ujęła się pod boki. - Nie ma mowy.

- Nie zrobi mi niczego, czego już przedtem nie robił.

- Na to nie licz - wtrącił Jake.

- A co z nami? - włączył się do rozmowy Buster. - Czy ten człowiek będzie naszym wujkiem? Chick chciałby wiedzieć.

- A ja mu odpowiem, tylko nieco później - odparła Wynne. - Najpierw muszę rozmówić się z Jakiem.

Laura chwyciła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

- Dobrze, Wynne. Zrób, jak uważasz. Zaczekam z chłopcami w naszym pokoju. Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Masz się dobrze przyjrzeć obecnemu tu panu teksańczykowi. Powiedziałaś mi, że poślubiłaś księcia z bajki. - Wycelowała palec w Jake'a. - To, niestety, nie on. Ale jeśli dasz mu cień szansy, jestem pewna, że go nie zmarnuje.

Zabrała chłopców i wyszła, zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

Zapadła nagle cisza, którą Wynne wykorzystała na spełnienie prośby Laury. Wpatrywała się z ciekawością w męża, zastanawiając się, co też takiego wypatrzyła przyjaciółka, co uszło jej uwagi.

Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka wyglądał na porywczego człowieka. Już same jego rozmiary działały onieśmielająco na ludzi, zwłaszcza w połączeniu ze spojrzeniem dziwnych złotych oczu, które potrafiły zmieniać się od lodowatych, po gorące. Mocna szczęka potęgowała wrażenie, że wolał żyć ponad ograniczeniami i konwenansami. Jednak tam, gdzie Laura widziała nieokrzesanego teksańczyka, Wynne odnajdowała silnego, nieugiętego obrońcę.

Jedyną różnicę od ubiegłego wieczoru mogła dostrzec w jego wzroku. Była to mieszanka ostrożności z cynizmem. Znała to spojrzenie. Jake miał najwidoczniej w niedalekiej przeszłości gorzkie doświadczenia natury osobistej i najwyraźniej znów się ich spodziewał.

Z jej strony?

Stał w drugim końcu pokoju spięty, z zaciśniętymi zębami, gotów w każdej chwili wybuchnąć. Uderzyło ją, że stała się to zwyczajowa poza w stosunku do niej. Znowu gnębiły go demony, zmuszając do wewnętrznej walki. Smuciło ją to. Czy zawsze był samotny i walczył z całym światem? Podejrzewała, że tak właśnie było.

- Czemu miałbyś mieć zły wpływ na chłopców? - spytała zniechęta.

- Co?

Podeszła do łóżka i przysiadła na brzeżku.

- Laura powiedziała, że będziesz miał zły wpływ na Bustera i Chicka, a ty się z nią zgodziłeś. Dlaczego?

- Bo nie wiem nic o dzieciach ani o tym, jak się je wychowuje.

— Sam byłeś kiedyś chłopcem. Czy nie mógłbyś...?

- ...sięgnąć po doświadczenia z dzieciństwa? - Zasepił się. - Nie spodobałyby ci się, zwłaszcza jeśli chodziłoby ci o kogoś bliższego.

- Skrzywdziłbyś chłopców? - zdumiała się.

- Nienaumyślnie.

- Więc...

- Nie o to chodzi. - Gestem zdradzającym zniecierpliwienie przesunął ręką po włosach. - Wzięłem udział w tej kretyńskiej imprezie, ponieważ potrzebowałem tymczasowej żony, żeby objąć spadek. Z brutalną szczerością podkreślałem, że nie dam za małżeństwo złamanego szeląga, kiedy tylko osiągnę swój cel.

- Nie ma sprawy.

- A właśnie, że jest. Ty potrzebujesz prawdziwego męża, kogoś na stałe, kto stworzy dzieciom dom. Na pewno nie ja.

, - Ale mógłbyś.

- Jak grochem o ścianę... - Pokręcił z niesmakiem głową - To nie jest bajkowy ślub. Nie ma szczęśliwego zakończenia za następnym zakrętem. Gdybyś od samego początku była ze mną szczerą w sprawę swego spadku, ominęłaby cię masa kłopotów.

- Może nie jest to tak, jak się na początku spodziewałeś.

- Niczego się nie spodziewałem - przerwał jej. - Potrzebuję żony w domu i w łóżku przez krótki okres. Koniec, kropka.

- Zgodziłam się na to - uparcie trwała przy swoim.

- Naprawdę? - Podbiegł do niej błyskawicznie, podniósł i spojrział, robiąc minę takiego opryszka, o jakim mówiła Laura. - Kobieta ma być ze mną tak długo, jak długo będzie mi potrzebna. Potem ma się wynieść. Bez żalu, bez komplikacji, kiedy nasz czas się skończy.

- Już mi to mówiłeś. - Wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana.

- Ale ty nie słuchałaś, prawda? Chodzisz z głową w chmurach, i o istnieniu ziemi dowiadujesz się, dopiero gdy padasz na nos. Przez to jestem ubrany w małżeństwo z kobietą, która wierzy w bajki, i ma dwójkę dzieciaków rozpaczliwie potrzebujących ojca.

- Tego zawsze pragnęłam - przyznała. - Skłonna jestem jednak...

- Co? Wciąż uprawiać ze mną te swoje gierki? Jaki jest następny punkt programu? Chcesz przekonać mnie do czegoś bardziej trwałego niż parę miesięcy?

Nie śmiała przyznać mu racji. Wzruszyła ramionami.

- Nieistotne. Zdałam sobie sprawę, że to mrzonki, Jake. Zrobimy to na twoją modłę.

- Masz cholerną rację. Żeby jednak zacząć od początku, powiedzmy sobie prawdę. - Ujął ją za brodę i spojrzał jej w oczy. - Rozmyślnie przemilczałaś sprawę tych dzieci, bo wiedziałaś, że ujawnienie ich istnienia przed ślubem będzie zbyt ryzykowne. Czy coś opuściłem?

Ogarnęło ją poczucie winy. Jej wyraz twarzy musiał powiedzieć wszystko, bo spojrzenie Jake'a stało się lodowate. Czemu zgodziłam się na plan Laury, pomyślała zrozpaczona. Sądząc z miny Jake'a, był to kosztowny błąd.

- Tak, celowo przemilczałam istnienie Bustera i Chicka. Jednak nie miałam innego wyjścia. Trzej narzeczeni opuścili mnie natychmiast, gdy zdobyłam się wobec nich na szczerłość.

Zacisnęła mocniej dłonie.

- Nie powiedziałaś mi - rzekł z wściekłością - bo domyślałaś się, że się z tobą nie ożenię. Potem włożyłaś tę cholerną koszulę nocną, by mnie uwieść, bo zdawałaś sobie sprawę, że zrobię wszystko, by cię mieć. A gdy to już się stało, zostałem zobligowany do wypełnienia warunków umowy, czyż nie tak, moja mała słodka dziewczico?

Wynne energicznie pokręciła głową.

- To nieprawda. Ty nalegałaś na to, by małżeństwo zostało skonsumowane, więc...

- ..poświęciłaś się dla dobra chłopców. - Uniósł kąciuki ust. -Jakie to szlachetne.

Łzy zakręciły się jej w oczach, ale uparcie nie pozwoliła im popłynąć.

- Zrobiłam wszystko, czego ode mnie żądałeś. Powiedziałeś, że małżeństwo będzie tylko tymczasowe, a ja się zgodziłam. Zależało ci na skonsumowaniu małżeństwa i zrobiłam to. Czego jeszcze chcesz ode mnie?

- To niezbyt skomplikowane - wypalił. - Domyśl się.

- Słowem nasze małżeństwo istnieje, czy nie? - spytała bez ogródek.

Zmełł w ustach przekleństwo i puścił ją.

- Nie mam zbyt wielkiego wyboru. Jeśli cię odprawię, stracę wszystko, a jestem zbyt blisko wygranej, by do tego dopuścić.

- Podeszedł do okna i spojrzął na pustynny krajobraz. Potem odwrócił się w jej stronę. - Dobrze. Małżeństwo istnieje. Jednak uprzedzam, już raz mnie oszukałaś. Lepiej tego nie rób po raz drugi, bo nie spodobają ci się konsekwencje.

- Dobrze. Powiedziałyby ci o chłopcach, gdybyś zapytał. Nie spytałeś.

Jake na dowód swego powątpiewania przymrużył oczy.

- Tego nigdy nie będę wiedział na pewno. I co teraz, moja małżonko? Nie powiem, żeby początek naszego związku był zbyt-
nio zachęcający.

Wynne niechętnie zgodziła się na zmianę tematu. W końcu po co gadać w kółko o tym samym. I tak jej nie uwierzy.

- Proszę tylko i wyłącznie, żebyś bronił nas przed panią Marsh.

- Mam pokonać twojego smoka? - Uśmiechnął się ironicznie.

- Właśnie. - Skinęła głową.

- Opowiedz mi o pani Marsh. Kto to?

- Ciotka chłopców, moja szwagierka.

- Więc czemu mówisz o niej per „pani Marsh”?

- Nie zachęca do poufałości - uśmiechnęła się kwaśno Wynne.

- Ma dość wpływów i pieniędzy, by folgować swoim zachciankom. Teraz odnalazła w sobie silny instynkt macierzyński i nie podoba się jej, że Tracy i Bob wyznaczyli mnie na opiekunkę dzieci.

- Jak zginęli?
- W wypadku samochodowym. - Smutek zachmurzył jej twarz.
- Chick był wtedy z nimi. Od tej pory nie odzywa się do nikogo, z wyjątkiem brata.

- Biedny dzieciak. - Współczucie uczyniło rysy Jake'a jeszcze bardziej posepnymi. - Skąd te dziwne imiona?

- Przewiska. Benjamin Curtis i Charles William, czyli Buster i Chick. Buster ma osiem lat, a Chick pięć. Są sobie bardzo bliscy.

- Zauważyłem. Nigdy nie oddalają się od siebie więcej niż o pół metra. - Zatknął kciuk za pasek. - Czy byłeś z nimi kiedyś u specjalisty? - spytał, spoglądając jej w oczy.

Skinęła głową.

- Buster wydaje się robić znaczące postępy, ale Chick... Oprócz szoku powypadkowego najwyraźniej boi się, że opiekę nad nimi znowu przejmie pani Marsh.

- Znowu?

- Zajmowała się nimi przez kilka tygodni bezpośrednio po wypadku.

- Naprawdę jest taka zła?

- Ma chyba dobre intencje... - Wynne wzruszyła ramionami.

- Jednak różnimy się w podstawowych sprawach. Uważałam, że przez ten rok powinni uczyć się w domu, bo rozłąka nie wyjdzie im na dobre. Pani Marsh sprzeciwiała się, twierdząc, że lepiej im będzie w prywatnej szkole, bo uczył się do niej jej brat. Oprócz tego jest raczej... bezpośrednia.

- Szczerść nie jest wadą.

- Zrozumiesz, kiedy ją poznasz - westchnęła Wynne.

- Mówiłaś, że bardzo chce mieć prawo do opieki nad dziećmi.

- Tak. Po śmierci swego brata zagroziła, że odbierze mi dzieci sądownie. Przez cały ubiegły rok robiłam wszystko, żeby temu zapobiec.

- Niełatwe zadanie.

- Nie - przyznała głucho. - Oprócz spraw szkolnych, zrobiło się krucho z pieniędzmi. Bob i Tracy zapisali dzieciom swoje polisy. Pani Marsh je zamroziła. - Wynne skrzywiła się. - Nawet gdyby tego nie zrobiła, nie chciałam korzystać z tych pieniędzy. Lepiej przeznaczyć je na wykształcenie chłopców.

- Ale to utrudniło sprawę.

- Radziłam sobie.

- Harowałaś jak wół i też nie pomogło.

- Tak, chyba tak - przyznała niechętnie.

- Więc najlepszym rozwiązaniem stało się małżeństwo?

Spojrzała na niego ostro.

- Nie dla miski stawy, jeśli to masz na myśli. Podstawowym powodem była pani Marsh. Gdybym miała męża, zabrakłoby jej podstaw do ubiegania się o dzieci.

- A bez tego?

- Ma pełne prawa.

Zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę.

- Dobrze - skinął głową. - Jeśli nasze małżeństwo ma jakoś funkcjonować, nawet tymczasowo, oboje musimy wypełniać swoje zobowiązania. Tak więc, przez czas trwania naszego związku, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ochronić ciebie i dzieci przed panią Marsh.

- Ja również wypełnię swoją część umowy.

Ujął jej twarz szorstkimi dłońmi.

- Tego nie planowałem, wiesz o tym, prawda?

Pod tą spokojną wypowiedzią kryło się napięcie, złość, nad którą z trudem panował. Tymczasem jego oczy zdradzały inne uczucie - czyste pożądanie, nad którym nie potrafił zapanować i stało się również jej udziałem. Ciepło rozeszło się po całym ciele Wynne i opanowała ją dziwna, trudna do przewyciężenia słabość. Nawet gdyby chciała nie potrafiłaby wyzwolić się z jego objąć.

- Jake... - szepnęła.

- Wiem, elfie, wiem - zaśmiał się zmysłowo. - Ja też nie potrafię tego pojąć.

Pocałował ją za uchem. Wynne jęknęła i zamknęła oczy. Jake miał rozpiętą koszulę, więc wystarczyło tylko wsunąć pod nią ręce, by poczuć gęsty zarost na piersi. Palce Wynne przemieszczały się od ramion, poprzez klatkę piersiową aż po umięśniony brzuch. Był cudownie twardy.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - mruknął.

Sięgnął ponad kołnierzykiem bluzki Wynne po zapięcie biustonosza i jednym szybkim ruchem oswoił piersi. Wciąż jednak dzieliła ich bariera bluzki. Nie tracąc czasu na rozpinanie guzików, ściągnął ją Wynne przez głowę.

- Jake...

Pożądanie zabarwiło mu policzki na ciemnoczerwony kolor.

- Nie walcz ze mną, nie teraz.

- Nie możemy... - Protest zabrzmiał mało przekonująco nawet dla niej samej. - Laura i chłopcy czekają.

- Niech czekają.

- Mogą wrócić.

- Zamknąłem drzwi. - Zaczął pieścić jej piersi. - Zrozumieją, kiedy im nie otworzymy.

Wynne z trudem składała słowa w logiczną całość.

- Nie znasz Laury. Jest natarczywa.

- To wywiesimy tabliczkę „Nie przeszkadzać”. Nie jest idiotką, więc się domyśli o co chodzi.

- Tego się właśnie obawiam.

- Daj sobie spokój z Laurą. Chodzi mi po głowie coś bardziej interesującego. - Zamknął jej usta pocałunkiem i wszystkie myśli wyleciały jej z głowy. Pożądanie powróciło falą jeszcze szybszą niż poprzednio. Czy to możliwe, że poznała tego mężczyznę zaledwie kilka godzin temu?

- Nie widziałem piękniej zbudowanej kobiety - szepnął. -
Gdyby nie te dzieciaki, moglibyśmy cudownie spędzić czas.

Te słowa rozwiały złudzenia Wynne. Bardzo się myliła co do ich związku. Kubeł zimnej wody nie ostudziłby jej skuteczniej.

- Powiedz, że nie to miałeś na myśli.

Dłuższą chwilę trwało, nim Jake wyczuł zmianę nastroju w jej głosie i zorientował się, że Wynne przestała brać aktywny udział w pieszczotach. Natężył mięśnie, jakby próbował zapanować nad sobą. Chwycił głęboki oddech i odsunął się od niej.

- Co?

- Twój komentarz dotyczący dzieci. Powiedz, że nie to miałeś na myśli.

- Mam kłamać? - spytał szorstko. - Mam powiedzieć, że jestem szczęśliwy, bo trafiła mi się żona z dwójką cudzych dzieci? Przykro mi. Nie umiem robić dobrej miny do złej gry. Pragnę cię. Co do tego nie ma dwóch zdari. Ale byłbym o niebo szczęśliwszy, gdyby nie było tych dodatków.

Wynne wyrwała się z jego objęć i sięgnęła po bluzkę.

- Wszystko ma swoją cenę - odparła, ubierając się w błyskawicznym tempie.

- Jestem tego świadom. Jednak nie powiedziałaś mi o kosztach aż do chwili, gdy nie można było się wycofać z interesu.

Przeszedł przez pokój po płócienną torbę i stetsona.

- Jesteś gotowa? Wygląda na to, że skończyliśmy.

Nie zamierzała się kłócić. Wzięła torbę i torebkę.

- Jestem gotowa. Nie powiedziałaś mi tylko, dokąd jedziemy.

Przystanął w progu.

- Do Teksasu, jak odgadła trafnie twoja przyjaciółka. Dokładnie rzecz ujmując, do Chesterfield w Teksasie. Mam tam niewielką posiadłość.

- Ranczo - powiedziała w zachwycie. Brzmiało to zbyt pięknie, żeby było prawdziwe. - Cudowne miejsce do wychowywania dzieci.

Twarz Jake'a znów przybrała ponury wyraz.

- Trzymam cię za słowo. Wychowałem się w mieście, - Otworzył drzwi na oścież i rzucił przez ramię: - Uprzedzam lojalnie, żono. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by uprzyjemnić ci nasze małżeństwo, ale nie oczekuj, że dam ci coś, czego nie mam.

- Masz na myśli miłość? - odważyła się spytać.

- Miłość to złudzenie - odparł chłodno. - Zabawna rzecz, iluzja. Nieważne, ile nad tym pracujesz, i tak w nią nie uwierzysz. Spróbuj, a skończy się cierpieniem.

To mówiąc, wyszedł.

scandalous

ROZDZIAŁ PIĄTY

Do Teksasu polecieeli wielkim, rejsowym samolotem, stamtąd do Chesterfield prywatną awionetką. Obok wąskiego lądowiska stała furgonetka Jake'a.

- Wszyscy do kabiny - polecił, nie patrząc na Wynne. - Będzie trochę ciasno, ale zawsze bezpieczniej, niż sadzać chłopców na skrzyni wśród bagaży. Wrzucił na tył trzy małe walizki. - Nie masz ze sobą zbyt dużo rzeczy.

Wzruszyła ramionami. Bardziej od bagaży obchodził ją teraz Chick. Wciąż miał opory przed jazdą samochodem i nie wiedziała, jak zareaguje na furgonetkę.

- Myślałam, że łatwiej będzie podróżować bez obciążenia. Resztę rzeczy mam spakowaną i wystarczy tylko, że podam firmie przewozowej mój nowy adres.

- Możesz zadzwonić do nich, jak tylko dotrzemy do domu - powiedziała, otwierając drzwi od strony pasażera. - Chodźcie, chłopcy, ruszcie nogami.

Wstrzymała oddech, czekając, co zrobi Chick. Ku jej wielkiej uldze wsiadł bez wahania. Najwyraźniej furgonetka nie budziła w nim złych wspomnień, tak jak samochód.

Jake pytająco uniósł brew.

- Niczego nie przegapisz, prawda? - spytała zdumiona.

- To zależy, czy zdołasz odwrócić moją uwagę - uśmiechnął się kwaśno. - Coś nie tak z Chickiem?

- Samochody nie zawsze mu odpowiadają. -Wzruszyła ramionami. - Przygnębiają go.

Jake wcale nie wydawał się tym zdziwiony.

- Nie ma sprawy. Nie mam samochodu. - Pomógł jej wsiąść.
- A skoro furgonetka go nie przeraża, dam ją do waszej dyspozycji.
- A ty? - zapytała, wystawiając głowę przez okno.
- Mam starego grata, którego mogę chwilowo używać. Albo któregoś z moich koni. - Obszedł auto dookoła i wsiadł za kierownicę. - Wszyscy gotowi? Pasy zapięte?

- Jesteśmy gotowi, wujku Jake - odparł Buster. - Gdzie masz swoje ranczo? Chick chciałby wiedzieć.

- Niedaleko. Jakies pół godziny drogi stąd.

Czas mijał szybko. Chłopcy obserwowali wszystkie poczynania Jake'a z żywym zainteresowaniem. W dwie minuty po odjeździe z lotniska zaczęły się pytania, na które odpowiadał jasno i wyczerpująco. Pomimo deklarowanej niechęci do wejścia w posiadanie „gotowej rodziny”, zachowywał się bardzo miło wobec chłopców podczas lotu. Trzymał Chicka za rękę i ze zdumiewającą cierpliwością wysłuchiwał nie kończących się uwag Bustera.

Chłopcy najwyraźniej bardzo go polubili, co nieco zaniepokoiło Wynne. Chociaż Jake poprawnie odgrywał swoją rolę, nie pozostał w ich życiu na dłużej. Westchnęła. Trudno było im wytłumaczyć, że nowy wujek jest tylko tymczasowym dodatkiem do rodziny. Nie była przekonana, że jej uwierzyli. Nic dziwnego, skoro sama za bardzo w to nie wierzyła.

Po dwudziestu minutach dojechali do małego miasteczka.

- To jest Chesterfield - wyjaśnił lakonicznie Jake.

Wynne rozglądała się ciekawie, dochodząc do wniosku, że miasteczko sprawia wrażenie dostatniego. Było niewielkie, lecz zadbane. Sporo witryn sklepowych czysto umytych i udekorowanych doniczkami pełnymi kwiatów, drewniana stajnia o wysokich drzwiach wciśnięta pomiędzy staroświecki salon fryzjerski a współczesny butik. Po przeciwnej stronie ulicy dom towarowy o piętrowej, dziewiętnastowiecznej fasadzie tulił się do nowoczesnego ban-

ku. Najbardziej niestosowny wydawał się budynek ze szkła i kamienia, mieszczący firmę prawniczą i ludowe wyroby meksykańskie.

Nigdy jeszcze nie widziała podobnego miejsca. Pomiędzy zaparkowanymi samochodami stały przywiązane konie. Na środku drogi tkwił wielki posąg z brązu przedstawiający Strażników Teksasu. Na końcu ulicy znajdował się nawet autentyczny bar z wachłowymi drzwiami. Obok o ścianę opierał się kowboj. Nad małym gmachem sądu dumnie powiewała flaga narodowa.

- Chesterfield jest cudowne - szepnęła w zachwycie.

- Unikaj go - warknął Jake. - Na południe od rancza jest tej samej wielkości miasteczko Two Forks. Znajdziesz tam wszystko, czego ci trzeba, mnóstwo sklepów, a nawet kino. Możesz tam zawsze pojechać po zakupy.

Wynne odwróciła się, by rzucić ostatnie spojrzenie na mijane Chesterfield.

- Czemu mam jeździć do Two Fortcs, skoro mogłabym tutaj?

- Bo tak powiedziałem.

To najwyraźniej kończyło dyskusję. Nachmurzyła się. Jake będzie musiał szybko porzucić ten władczy sposób bycia. Starła się być tolerancyjna. Żeniąc się z nią, nie wszystko ułożyło mu się zgodnie z planem. To nie znaczy jednak, że musi bez szemrania wypełniać wszystkie jego rozkazy.

- Czy to tutaj? - spytał Buster, wychylając się do przodu. - To twoje ranczo?

- Tak. Witajcie w Lost Trail. - Jake rzucił Wynne szybkie, tajemnicze spojrzenie. - Wiem, że potrzeba tu paru napraw...

- Jest cudowne! - zawołała.

- Zobacz, Chick, stodoła i w ogóle... - pokazywał Buster. - Masz konie, wujku Jake? I krowy, i świnię?

- Nie mam świń. To ranczo, nie farma. Jest za to mnóstwo krów i koni.

Jechali wzdłuż zakurzonego podjazdu przecinającego nie koń-

czące się pastwiska. Zatrzymali się przed domem. Chłopcy wyskoczyli i pognali na ganek. Jake wyjmował bagaże. Wynne szła za nim, oszołomiona hojnością losu.

Poślubiła człowieka z domem. Skąd nagle tyle szczęścia? Będą mieszkali w prawdziwym piętrowym domu, o mnóstwie pokoi, nie tak, jak do tej pory - w ciasnym mieszkanku. Powstrzymywała cisnące się do oczu łzy.

- Jest nawet piętro - poinformował brata Buster. - Chodź. - Złapał go za rękę i zniknęli w przepastnym wnętrzu.

Jake przekroczył próg i obejrzał się. Z jego miny wyczytała, że nie odpowiada mu jej obecność w tym miejscu. Westchnęła i weszła do środka. Popołudniowe słońce z całą bezwzględnością oświetliło porysowaną sosnową podłogę i łuszczące się tapety. Po kątach zwieszały się pajęczyny, wszędzie zalegała gruba warstwa kurzu. Nawet niebie pochodziły z wyprzedzący.

Dom przypominał jej kobietę, która zmęczona latami ciężkiej pracy dała za wygraną.

- Słuchaj... - powiedział markotnie. - Wiem, że jest zapuszczony...

- Jest przepiękny - odparła, widząc tylko same dobre strony. - Potrzebuje tylko nieco serca, żeby nabrał blasku.

- To ruina. Wprowadziłem się niedawno i nie miałem okazji...

- Spójrz na wielkość pokojów. W porównaniu z tymi, w których mieszkaliśmy, to istny pałac. A sufity - zadarła głowę - są takie wysokie.

- Wiem, że jesteś rozczarowana - mruknął Jake.

- Gdzie jest kuchnia?

Pokazał na prawą stronę.

- To tylko przejściowo.

- Widzę, że masz dużo jedzenia. - Zajrzała do szafek. - Gdzie znajdę jakieś szmaty?

- Za następnymi drzwiami, w składziku. - Jake stał pośrodku

kuchni, rozglądając się wokół z niesmakiem. - Mogę wynająć paru ludzi, żeby tu nieco posprząтали.

- Masz nawet pralkę i suszarkę! Niesamowite! - Wynne wręcz tańczyła po kuchennej podłodze. - A to piec węglowy? Nie widziałam takiego. Jak to działa?

- Piec na opał drzewny - poprawił ją. - Radzę ci z nim nie eksperymentować. Mam kuchenkę mikrofalową i gotuj w niej.

- Och, Jake, tu jest cudownie. Trochę mydła i potu, a nie poznasz tego miejsca.

- Ożeniłem się z tobą nie dlatego, że potrzebowałem sprzątaczkę - powiedział ostrzejszym tonem, niż zamierzał.

Uśmiechała się nadal.

- Wiem, czemu się ze mną ożeniłeś. - Zrzuciła mu rękę na szyję. - Wyczyszczenie domu potraktuj jako podziękowanie z mojej strony. Nie mogłabym prosić o nic piękniejszego. :

Mruknął coś pod nosem i wyswobodził się z jej uścisku, trzymając ją w bezpiecznej odległości.

- Nie musisz składać mi żadnych deklaracji. Wiem, jak wygląda ten dom i dziwię się, że nie uciekaś. Tylko gdzie byś się podziała? - zasepił się.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyła ramionami. - Na szczęście to nie moje zmartwienie. - Popatrzyła na niego wzrokiem niewiniątka.

- Nie mogłeś podarować mi niczego wspanialszego.

Jake zupełnie zgłupiał. Puścił ją i cofnął się.

- Muszę wyjść.

- Kiedy wrócisz?

- Nie wiem.

- Cóż, w takim razie pojedę z tobą i zrobię zakupy.

- Nie! - Zacisnęła pięści, starając się opanować. - To znaczy, możesz zrobić zakupy w supermarkecie w Two Forks. Kiedy dojedziesz do drogi, skręć w lewo.

- Jasne.

- Wynajmę ludzi do sprzątanía. - Odruchowo przesunął ręką po włosach. - I przywiozuję jakiś obiad z miejscowego baru. Nie musisz się o nic martwić.

Tylko tyle mógł zrobić. Czuł ucisk w żołądku. Czemu tak się zachowuje? Dlaczego przywiózł ją do domu, który już dawno należało spalić, zamiast zaprowadzić ją do miejsca godnego królowej? Wiedział, dlaczego. Gdyby zabrał ją gdziekolwiek indziej, dałby jej złudną nadzieję. Mogłoby to sugerować trwałą związek. Nie mógłby znieść tego, że musiałyby wreszcie zniszczyć jej iluzje. Kiedy tu posiedzi dłużej, sama będzie chciała uciekać. Może wtedy uda się jej ocalić przynajmniej kilka marzeń.

- Może się rozejrzysz i przygotujesz listę niezbędnych rzeczy?
- dodał zgrzytliwym głosem. - Jeżeli uderzysz w dzwon, Dusty ci pomoże. Powinien być tu gdzieś w okolicy.

- Dusty?

- Mój zarządca. Wielki kapelusz, mały facet. Dużo pluje. Trudno go z kimś pomylić.

- Pewnie to niezły charakterek - uśmiechnęła się.

- Jasne, ale jest w porządku. - Nie mogąc się powstrzymać, pocałował ją. - Nie powinnaś wychodzić za mnie - powiedział, gdy ją wreszcie puścił. - Pożalujesz tego.

- Będę żałować dopiero w chwili, gdy przyjdzie nam się rozstać.

- Owszem - oznajmił obojętnym tonem.

- A mam jakiś wybór?

- Nie - odparł i wyszedł.

- Oho - mruknęła Wynne, spoglądając pod kierownicę.

- Coś nie tak? - spytał Buster.

Chick pokazał na pedały.

- Są trzy - zmartwił się Buster. Popatrzył pytająco na ciotkę.

- Umiesz prowadzić samochód z trzema pedałami?

- Obawiam się, że nie - westchnęła.

- Nic nie szkodzi. Patrzyłem, jak wujek Jake to robi. Samochód taty też miał trzy pedały. - Pokazał palcem na pierwszy z prawej. - Ten jest od jechania, środkowy od zatrzymywania. Ostatni naciskasz, kiedy przesuwasz drążek. - Pokazał na dźwignię zmiany biegów.

- Tyle to i ja się domyślam. - Przygryzła dolną wargę. - Może powinniśmy poczekać do powrotu Jake'a? Chyba nie damy rady samodzielnie dojechać do Two Forks.

- Wcale nie chcę jechać do Two Forks - powiedział Buster. - Chick też nie. Pojedźmy do innego miasta. Do tego z pomnikiem kowboja. Ono się nam podoba.

- Mnie też - wyznała Wynne.

Wcisnęła sprzęgło i przekręciła kluczyk. Silnik ożył. Jednak, gdy zdjęła nogę ze sprzęgła, auto nagle szarpnęło się i silnik zamilkł.

- Musisz ostro naciskać na gaz i powoli zwalniać tamten pedał - pouczał ją Buster.

- Nie wiem - pokręciła głową Wynne. - Nie jestem pewni.

Chick pogłaskał ją po ręce i popatrzył na nią swymi niebieskimi oczami, pełnymi bezgranicznej wiary w jej umiejętności. Westchnęła, spróbowała ponownie i udało się jej zatoczyć furgonetką szerokie półkole. Wyjąc silnikiem, wjechała na zakurzony trakt.

- Przesuń drążek! - zawołał Buster.

Wcisnęła sprzęgło i przestawiła dźwignię w inne położenie- Furgonetka zabuksowała i znów zatrzymała się.

- Idzie ci coraz lepiej - skłamał bez przekonania Buster.

- Jednak nie wystarczająco dobrze, żeby przejechać całą drogę do Two Forks, prawda?

- W żaden sposób.

Chick wymownie pokręcił głową.

- To ogranicza nasz wybór. Chesterfield, zgoda?

- Zgoda.

Uruchomiła silnik, wrzuciła jedynekę i skręciła na prawo. Zanim

dojechali do rogatek, auto szarpnęło jeszcze cztery razy. Zatrzymała furgonetkę przy rynku.

- Udało się - powiedziała Wynne z nie ukrywaną ulgą. - Jest tylko mały problem.

- Jaki? - zaciekawiał się Buster.

- Nie wiem, jak wrzucić wsteczny bieg. Możemy utknąć tu na dłuższą chwilę. - Nagle rozpromieniła się. - Na razie poszukamy domu towarowego. Musimy zrobić zakupy.

Jake odwrócił się plecami do okna wychodzącego na rynek i wsadził ręce do kieszeni.

- Wszystko na nic, Peter. To małżeństwo okazało się totalną kląpą. Prawnik zrobił zaniepokojoną minę.

- Co się stało? Nie podpisała intercyzy?

- Podpisała.

- Wie, że małżeństwo jest tymczasowe? Zamierza robić sceny przy rozstaniu?

- Zgodziła się na rozwód i nie będzie robić trudności.

- A co z wypełnieniem wszystkich warunków testamentu? Czy wy... oprócz ślubu znaleźliście się w łóżku?

Jake zgrzytnął zębami.

- Zadbałem o wszystko - wydusił z trudem.

- Czy wyzna wszystko przed sądem?

- Tego nie omawialiśmy jeszcze, ale znając Wynne, wiem, że zrobi wszystko, o co ją poproszę.

Peter przyglądał mu się w zdumieniu.

- Nawet prawdziwa żona nie chciałaby się na to zgodzić. To wszystko brzmi zbyt pięknie, więc w czym problem?

- Ona jest... miła.

- Do diabła. To poważny kłopot.

- Oszczędź mi sarkazmu, Bryant - jęknął Jake. - Mówię poważnie, jestem w kropce.

- Jak to? Szukałeś przeciętnej, praktycznej i zrównoważonej kobiety, która zgodziłaby się zawrzeć z tobą fikcyjne małżeństwo. Dobrze pamiętam?

- Ona nie jest całkiem przeciętna - nachmurzył się Jake.
- Złowiłeś ślicznotkę, co? Jak ma na imię? Wynne?
- Wynne Sommers. I jest... piękna, wspaniała, boska, niewinna.
- Praktyczna?
- Tego nie zauważyłem. - Jake nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Zdecydowana. Kapryśna. Godna podziwu. Marzycielka.
- Ale przynajmniej jest zrównoważona.
- Trudno ją określić... - Kiedy nie błędzi z głową chmurach, co zdarza się raczej rzadko.

Peter nie ukrywał zdumienia.

- Wal śmiało.
 - Ona jest...
- A niech to. Zaczekajcie, chłopcy. Mamy następny problem.
- Wynne wzięła portmonetkę i policzyła pieniądze. - Trzyście, czterysta, pięćset. Pięćset dolarów i sześćdziesiąt siedem centów. Niewiele z tym zwojujemy.

- Nie możesz wypisać czeku? - spytał zawsze praktyczny Buster.
 - Zlikwidowałam swoje konto w Maryland. Ale może...
- Wzięła chłopców za ręce i pomaszerowała do najbliższego sklepu.
- Przepraszam, czy mogę mówić z właścicielem? - spytała siedzącą za kasą kobietę.
 - Już z nią mówisz, złotko. Belle Blue. Czym mogę pomóc?
 - Jestem Wynne Hondo, a to moi siostrzeńcy, Buster i Chick. Właśnie przyjechaliśmy do Cłiesterfield i postanowiłam zrobić zakupy, podczas gdy mój mąż...

- Powiedziałaś, Hondo? - spytała ostro Belle.
- Tak jest. Znasz Jake'a? - uśmiechnęła się Wynne.
- No pewnie. Czarne włosy, serce z kamienia i diabelskie oczy.

- Chyba musiała go pani pomylić z kimś innym - nachmurzyła się Wynne. - Jake ma czarne włosy, ale jest najbardziej uprzejmym mężczyzną, jakiego znam. A w oczach ma przepiękne złote błyski.

- Ktoś się tu cholernie myli - przyznała Belle. - Jak się nazywasz?

- Wynne Hondo.

- I jesteś... - Nie mogło jej to przejść przez gardło.

- Żoną Jake'a. Owszem. Pobraliśmy się niedawno.

- Masz na to jakiś dowód? - Kobieta popatrzyła na nią podejrzliwie.

- Chyba tak. - Wynne wyciągnęła z torebki kopertę, którą dała jej Dora.

- Asa, chodź tu i posłuchaj - zawołała kobieta. - Jake znalazł sobie żonę. - Pokręciła głową w zdumieniu, kiedy wysoki, siwy mężczyzna podszedł do niej. - A Randolph twierdził, że nie zdaży. Będzie miał się teraz z pyszna.

Wynne wręczyła Belle pozłacany certyfikat, świadoma tego, że wokół zgromadził się już tłum ciekawskich.

- To tylko ozdóbka i nie ma mocy prawnej, ale nie sądzę-..

- Złotko, kobieta, która jest dość odważna, by złapać na łąso takiego faceta jak Jake Hondo, zasługuje na prezent. Dam ci ramkę do tego świstka papieru i nieważne, czy posiada on moc prawną, czy nie. Możesz uważać to za prezent ślubny ode mnie i od Asy.

- Cóż, dziękuję. To bardzo miło z waszej strony - uśmiechnęła się Wynne, biorąc do ręki ofiarowaną ramkę. - Mam jednak drobny problem.

- Jak możemy pomóc?

- Mam przy sobie tylko piętnaście dolarów i sześćdziesiąt siedem centów, więc...

- Możesz zrobić zakupy na konto Jake'a. Nie ma sprawy. - Pu-

ściła oko do Wynne. - Wiemy, gdzie was szukać pod koniec miesiąca. Ranczo w Chesterfield jest piękne, prawda?

- Ma pani chyba na myśli Lost Trail. Chłopcy i ja ubóstwiamy je.

Belle spojrzała dziwnie na Wynne.

- Zatrzymaliście się na starych śmieciach Jake'a?

- Cóż, potrzeba je nieco wyczyścić... - Wśród obecnych rozległ się lekki szmer. — Ale szybko doprowadzimy je do porządku.

- Naprawdę? - mruknęła Belle. -Zacznij od Jake'a.

Wynne roześmiała się.

- Ona jest... Ona jest inna - wykrztusił w końcu Jake.

- A, to co innego, to faktycznie problem - przyznał Peter, usiłując dojść przyczyny niezadowolenia Jake'a. - Nic nie rozumiem. Nie podoba się jej w Chesterfield?

- Nie wiem. Mieszkamy u mnie.

Peter ze zdumienia otworzył usta.

- Zabrałeś ją do tego śmietnika? Czy ty postradał zmysły? Nic dziwnego, że jest niezadowolona. Weź ją do Chesterfield, od razu się wypogodzi.

Jeżeli zabierze ją do domu dziadka, Wynne nigdy nie odejdzie. Wreszcie pewnego dnia na lśniącej zbroi rycerza, w którą go ubrała, pojawią się rysy. On nie wytrzyma sytuacji, w której Wynne utraci złudzenia na jego temat.

- Wcale nie jest markotna. Nawet jej się tam podoba. Lepsze to niż życie w małym mieszkaniu. Ma zamiar wysprzątać Lost Trail.

- Co?

- Nie zamierzam jej na to pozwolić - bronił się Jake. - To mi przypomina, że miałem wynająć jakichś ludzi. Możesz mi kogoś polecić?

Peter zmarszczył brwi.

- Powiedzmy to sobie szczerze, nie lubisz jej.

- Tego nie powiedziałem.
- Ale się w niej nie zakochałeś'?

Jake odwrócił się i nalał sobie drinka. Minęło kilka minut, zanim znalazł włas'ciwą odpowiedź.

- Nie.

- A ona jest zachwycona, żyjąc w chlewie, który nazywasz domem i nawet chce go posprzątać?

Jake wzruszył ramionami.

- Chyba jej poprzednie mieszkanie nie było tak przestronne.
- Przypomniał sobie spracowane ręce Wynne. - Nie boi się też ciężkiej roboty.

- I mówisz, że nieźle wygląda?

Włosy jak pszenica, oczy niczym jeziora les'ne.

- Jest piękna.

- Chcę ją - stwierdził Peter.

- Co?

- Po waszym rozwodzie. Ożenię się z nią. Z tego, co mówisz, to żywe spełnienie moich marzeń.

- Idź do diabła, Bryant - powiedział Jake, odwracając się w stronę okna.

Wynne podała rękę i przedstawiła siebie i chłopców kolejnemu mieszkańcowi Chesterfield.

- To wyjątkowo gościnne miasteczko - zauważyła, pchając wózek między regałami.

- Nieco zatłoczone - dodał Buster, pchając drugi.

- Pewnie im też nie chciało się jechać do Two Forks.

- Czemu wszyscy chcą się z nami przywitać? Nie zdarzało się to nam podczas zakupów w Maryland.

- Może tak zachowują się ludzie w Teksasie? - Zatrzymała się przed lokalną tablicą ogłoszeń. - Za tydzień kwesta dobroczynna. Ciekawe, czy Jake coś da. Jeśli nie, upiekę ciasto.

Chick pociągnął ją za rękę.

- Chick wolałby raczej ciasteczka - powiedział Buster. - Możemy je robić.

- Chyba raczej je zjadać - rozes'miała się. - Weźcie kilka paczek czekoladowych prażynek i orzeszków. Są na dolnej półce. Nawet większą ilość. Święto Dziękczynienia za pasem, a to oziacza dużo pieczenia. Najpierw jednak sprzątanie, obiecałam to Jake'owi. Wypieki na drugim miejscu.

Jake usiłował puścić mimo uszu słowa Petera i gapił się W milczeniu na ulicę. Nagle skupił wzrok na znajomej czarnej, zabłoconej furgonetce zaparkowanej przy targowisku po drugiej stronie ulicy. Nasrożył się nagle, poznając auto. Niech to diabli, to była jego furgonetka!

- Piekło i szatani! - zaklął. - Oszukała mnie. Obiecała, że pojedzie do Two Forks, a wylądowała tutaj. Przysięgam, że ją uduszę!

- A cóż takiego zrobiła? - zainteresował się Peter.

- Zjawiła się w mieście.

- I co z tego?

- A to, że kazałem jej jechać do Two Forks, a ona rozmyślnie mnie nie posłuchała.

- Nie mogę się doczekać chwili, w której poznam twoją żonę - uśmiechnął się Peter. - Zaczynam ją lubić.

- Idź do diabła, Bryant. - Jake złapał stetsona i ruszył w stronę drzwi. - Dokończymy później. Teraz muszę odnaleźć żonę, zanim wpakuje się w kłopoty. Znając ją, już się spóźniłem.

- Chwileczkę, Jake! A co z testamentem dziadka? Musimy wyznaczyć termin w sądzie. Wynne musi...

Jake stanął jak wryty i zawrócił na pięcie.

- Zmieniłem zdanie. Nie chcę, żeby moja żona stawała przed sądem i opowiadała całemu Chesterfield szczegóły z naszej nocy

poślubnej. Umów Randolfa i sędziego Graydona na bardziej prywatne spotkanie. Obiad czy coś w tym rodzaju.

Nie mógł znieść myśli, że wystawia się na publiczne pośmiewisko. Nie zrobiłby tego Wynne czy raczej... sobie.

- Obiad - powtórzył z niedowierzaniem prawnik. - Ona podaje główne danie i mówi: „A nawiasem mówiąc, Jake i ja zrobiliśmy to zaraz po ślubie. Jeszcze trochę sałaty, a może soli?”. Już to sobie wyobrażam.

- W żaden sposób nie pozwolę obrazić ani upokorzyć Wynne. Czy sędzia nie może spytać, jak minęła nam noc poślubna? Wynne odpowie, że wspaniale i po sprawie.

- Naprawdę tak było? To znaczy, wspaniale?

- Gdybyś nie był moim adwokatem - wściekł się Jake - wbiłbym ci zęby aż do gardła.

- To dobrze, że jestem twoim adwokatem, prawda? Zaczekaj chwilkę, jeszcze jedno pytanie, zanim wyjdiesz.

- Słucham.

- To jest tymczasowa żona, prawda? Ta, która się z tobą rozwiedzie, kiedy ustaną powody, dla których się pobraliście. Nie jesteś w niej zakochany?

Jake zrobił groźną minę i nasunął kapelusz na oczy.

- To były aż trzy pytania, Bryant, i odpowiedzi na żadne z nich nie powinny cię interesować. Załatw tylko to spotkanie przy obiedzie. Jasne?

- Jasne. Musisz jednak wyjaśnić Wynne, czego się po niej spodziewasz.

- Powiem jej.

Może.

A może poprosi sędziego, żeby przy kawie zadał kilka subtelnych pytań. Rozważając to, wyszedł na ciepłą od listopadowego słońca ulicę. Wynne nie powinna się domyślić prawdziwego powodu tego spotkania. Zachowa to w tajemnicy. Po prostu powie jej, że

sędzia jest wścibskim staruszkiem i powinna potraktować wszystko z poczuciem humoru. Jeśli starannie wszystko zaaranżuje, powinno się udać.

Pokręcił głową z niesmakiem.

Wynne musi się wyzbyć swego idealizmu. Czemu dał się obsadzić w roli obrońcy? Kiedy się wreszcie nauczy? Jest zwykłym łobuzem, nie jakimś tam bohaterem.

Wynne podpisała rachunek, pożegnała się wylewnie z Belle i popchnęła wypchany zakupami wózek w stronę wyjścia. Zanim tam dotarła, zastąpił jej drogę jakiś mężczyzna.

- Chodzą plotki, że wyszłaś za Jake'a - oznajmił zamiast powitania. - Czy to prawda?

W sklepie zaległa nienaturalna cisza. Wynne spojrzała z zainteresowaniem na nieznanego. Złość zniekształciła jego przystojne rysy i zastanawiała się, czym mogła go urazić.

- Jeśli ma pan na myśli Jake'a Hondo, to owszem, jestem jego żoną. - Wyciągnęła rękę. - Wynne.

Mężczyzna zignorował ten gest. Wsunął kciuk za pasek i zaczął huśtać się na obcasach. Wynne powoli cofnęła rękę.

- Jake poślubił cię tylko po to, by zagarnąć mój spadek - oznajmił, spoglądając na nią wyzywająco.

- Pański spadek? - Uniosła w zdumieniu brwi.

- Randolfie, proszę cię, nie rób scen. - Stojąca za mężczyzną kobieta o smutnych oczach dotknęła jego ramienia.

Strącił jej rękę.

- Nazywam się Randolf Chesterfield, a to ranczo prawnie mnie się należy.

- To chodzi o ranczo?

- Chyba że Jake weźmie sobie żonę w pełnym tego słowa znaczeniu.

- W takim razie nie ma problemu - roześmiała się Wynne.

Nie należało tego mówić. Jej wypowiedź tylko go rozjuszyła. Zacisnął pięści i podszedł bliżej, odsuwając na bok jej wózek z zakupami.

- Nie znasz wystarczająco dobrze tego człowieka, w przeciwnym razie nie mówiłabyś takich rzeczy.

Wynne uniosła dumnie głowę.

- Znam Jake'a wystarczająco i...

- W takim razie znasz też warunki testamentu jego dziadka. Poślubił cię tylko po to, żeby zagarnąć moją ziemię - wypalił.

- Jego ziemię - sprostowała z promiennym uśmiechem. - Oczywiście, że wiem, czemu się ze mną ożenił. Jake jest nie tylko człowiekiem honoru, jest to też najmiłszy, najsympatyczniejszy i najszlachetniejszy mąż, jakiego kobieta może sobie wyobrazić. Gdyby nie on, nie mogłabym zatrzymać siostrzeńców. - Przytuliła do siebie Bustera i Chicka. - To po prostu anioł!

Randolf wyglądał, jakby zrobiło mu się niedobrze.

- Z pewnością cię nabrał - rzekł w końcu. - Nie wiem, czy mam ci współczuć, czy składać mu gratulacje. Ale ostrzegam, nie da wam złamanego grosza. Kiedy dopnie swego, zostawi was na łasce losu.

- Randolfie, daj jej spokój - poprosiła kobieta.

- Cicho, Evie. Po prostu mówię prawdę. Ktoś powinien wyjaśnić jej, jakim podstępny gadem jest Jake, zanim zrobi krzywdę jej i dzieciakom.

- Wujek Jake wcale nie jest gadem. Nigdy nas nie skrzywdzi. On nas kocha! - krzyknął czerwony ze złości Buster. - Nie mów o nim nic złego, bo cię kopnę!

Wynne uściśnęła siostrzeńca.

- Już dobrze, kochanie. Pan Chesterfield po prostu nie zna Jake'a tak dobrze jak my. - Zerknęła na Randolfa. - Myli się pan. Mój mąż jest człowiekiem honoru, czego dowiedzie panu w najbliższym czasie. Od tej pory proszą nie mówić nic złego o nim

w mojej obecności lub przy dzieciach, bo gorzko pan pożałuje. A teraz proszę się odsunąć, czas na mnie.

Chwyliła wózek i ruszyła w stronę wyjścia, gotowa przepchnąć się siłą.

Randolf z przesadną kurtuazją odskoczył na bok.

- Nie śmiem zatrzymywać - powiedział, gdy go mijała. - A tak przez ciekawos'ć... Ile ci płaci za to, by pójść z tobą do łóżka? Chyba fortunę.

W sklepie rozległ się zbiorowy jęk, a Wynne poczuła, że ogarnia ją nieopisana wściekłość. Jednak było to niczym, w porównaniu z furią człowieka milcząco stojącego w drzwiach.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jake wyprostował się. W oczach płonęły mu piekielne błyski.

- Widzę, że już poznałeś moją żonę, Chesterfield - odezwał się przerażająco spokojnym tonem.

Randolf obejrzał się i zbladł.

- Hondo! Ja...

Jake podszedł bliżej, wpierając go w ścianę.

- Jeśli odezwiesz się do niej choć raz bez mego pozwolenia, to przefasonuję ci tę przystojną bużkę. Jasne?

- Posłuchaj, Jake... Ja tylko...

- Nie dosłyszałem odpowiedzi. - Złapał Randolfa za koszulę.

- Czy zrozumieliśmy się, kuzynie? Nie waż się z nią rozmawiać, ba, nawet patrzeć na nią. Czy to jasne?

Pot zalał czoło Randolfowi. Skinął głową.

- Mądra odpowiedź. - Jake puścił koszulę kuzyna. - Bo jeśli jeszcze raz wtrącisz się w moje sprawy, drogo za to zapłacisz.

- Spojrzał na Wynne. - Idziemy.

Ruszyła bez słowa. Buster, przechodząc obok Randolfa, pokazał mu język. Chick przystanął na chwilę, kopnął go i pobiegł za bratem.

Jake rozejrzał się po tłumie ciekawie przyglądającym się jego żonie. Nie zdziwił się, gdy napotkał kilka zachwyconych spojrzeń.

- Żeby sprawa była jasna - powiedział głośno - bronię swej własności.

- Nikt w to nie wątpi - odparła sucho Belle. - Ale nie martw się o Wynne. Nie da sobie w kaszę dmuchać.

- Miło mi to słyszeć - skłonił się Jake. Dostrzegł żonę Randolfa i uchylił stetsona. - Uszanowanie, Evie.

- Niech cię szlag, Hondo. - Randolph odzyskał nagle dar wymowy. - Daj jej spokój albo zrobię ci krzywdę. Masz własną żonę. Nie potrzebujesz mojej.

Łzy trysnęły z błękitnych oczu Evie i Jake pożałowała, że wściekłość kuzyna obróciła się przeciwko niej. Nie spodziewał się takiej ostrej reakcji Randolfa. Musiał być doprowadzony do ostateczności.

- Po raz pierwszy w życiu powiedziałaś coś sensownego, Chesterfield. Mam żonę. - Zerknął przez szybę na oddalającą się z gracją Wynne. - Ze mną możesz rozmawiać, z nią nie.

Wyszedł ze sklepu, goniąc żonę, która już pierwszego dnia wpakowała go w kłopoty. Zastał ją przy furgonetce.

- Co tu robisz, Wynne? - spytał, pomagając jej włożyć zakupy na skrzynię. - Mówiłem, że masz jechać do Two Forks.

- Mówiłeś.

Stała odwrócona tyłem, wiatr potargał jej włosy, odsłaniające kark. Jake poczuł przypływ pożądania. Wynne wyglądała tak bezbrannie i delikatnie. Była przy tym nieobliczalna.

- Więc czemu tego nie zrobiłaś? - nalegał.

Spojrzała na niego przez ramię. W zielonych oczach widział zdziwienie jego tonem.

- Było za daleko i nie sądziłam, że mi się uda.

- Uda? O czym ty mówisz?

- To przez trzy pedały - wtrącił się Buster. - Próbowałem jej pomóc, ale za dobrze sobie z tym nie radzi.

- Trzy... - Olśniło go nagle. - Nie umiesz prowadzić ze zwykłą skrzynią biegów?

- Teoretycznie... tak. W praktyce wychodzi mi to znacznie gorzej - przyznała.

Jake chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język.

- Wsiadaj, pojedę za wami.

Chick westchnął. Buster jęknął i wzniosł oczy do nieba.

- Co znowu? - zaniepokoił się Jake.
- Nie umiem wrzucić wstecznego biegu - wyjaśniła.
- Nie umiesz... Ale naprzód ci się udało?
- Na tyle, żeby tu dojechać. - Uśmiechnęła się.
- A na tyle, żeby wrócić do domu?
- Chyba nie.
- Zaczekajcie na chodniku. Zawrócę auto.

Buster trącił Wynne.

- Wujek Jake znów tak śmiesznie mówi. Zupełnie jak przed chwilą w sklepie - szepnął.
- Widocznie jest znudzony - odszepnęła Wynne.
- Wcale nie jestem znudzony, tylko wściekły - sprostował ponuro Jake. - A teraz jazda na chodnik.

Usłuchali go w milczeniu. Furgonetka ryknęła uruchamianym silnikiem, Jake wycofał ją z parkingu i zostawił na środku ulicy.

- Wskakujcie i jazda do domu - powiedział do Wynne. - Pojadę tuż za wami.

Wsiadli do auta. Z rozzwierającym uszy zgrzytem Wynne wrzuciła pierwszy bieg i ruszyła. Jake jęknął. Jego mechanik na pewno ją pokocha. Wymieniając co miesiąc skrzynię biegów, Billy Dee dorobi się wkrótce fortuny. Kręcąc z niesmakiem głową, Jake wsiadł do jeepa i ruszył za nimi. Od momentu, kiedy po raz pierwszy udało się jej zgasić silnik i omal na nich nie wpadł, starał się zachować ostrożny dystans. Po dziesięciu minutach dotarli do Lost Trail. Dopiero za trzecim razem udało się jej wrzucić odpowiedni bieg i zjechać z szosy. Jake odetchnął z ulgą. Miał ponure przeczucia, że to dopiero początek kłopotów z uwielbianą żoną. Nie mógł gniewać się na nią, zwłaszcza po tym, jak ogniście broniła go w supermarkecie.

Dusty wyłonił się ze stodoły, żeby ich powitać. Z niepokojem przyglądał się Wynne i dzieciom.

- To ona? - spytał, zaglądając do jeepa. - Skąd się wzięły te chłopaki? Nic o nich nie wspominałeś.

- Mówiłem ci, że moja żona ma mnóstwo niespodzianek. To jedna z nich. Chodź, przedstawię was sobie.

Dusty podniósł ręce do góry i zaczął się wycofywać.

- Nie trzeba. Kiedy indziej. Za tydzień, może za miesiąc albo... jak się będą pakować przed wyjazdem.

Jake pokręcił głową.

- Nic z tego. Poznasz ich zaraz. Przypilnujesz chłopców, kiedy ja będę uczył Wynne zmieniać biegi.

- Nie jestem niańką - zaprotestował Dusty.

- Naprawdę? Nie jesteś też zarządcą, chociaż nie przeszkadza ci to brać takiego uposażenia. A teraz zamknij się i chodź. - Coś sobie przypomniał i odwrócił się gwałtownie. - Tylko nie pluj przy niej.

Wynne oderwała wzrok od nie kończących się pastwisk i spojrzała na Jake'a.

- Jestem ci wdzięczna, że uczysz mnie prowadzić auto ze zwykłą skrzynią biegów.

- Powinnaś mi powiedzieć, że nie umiesz.

- Zorientowałam się dopiero, kiedy wyjeżdżaliśmy.

- Trzeba było poczekać na mój powrót. Mogłaś spowodować wypadek.

Znów zaległa cisza. Wynne obracała na palcu obręczkę i zastanawiała się nad zmianą tematu.

- Mieszkańcy Chesterfield są bardzo mili - zaczęła. - U Belle było mnóstwo ludzi. Chyba dlatego chciałeś, żebym pojechała do Two Forks. Tam jest luźniej, prawda?

- Nieprawda. U Belle było tłoczno, bo rozeszła się pogłoska, że po zakupy przyjechała pani Hondo. Wszyscy chcieli zobaczyć kobietę, która odważyła się wyjść za mnie. - Zaciśnął zęby. - Wysła-

łem cię do Two Forks, żebyś uniknęła kontaktu z tymi miłymi ludźmi. Zwłaszcza z Randolfem.

- Och! - Zamrugęła. - Oprócz niego, Chesterfield jest bardzo przyjaznym miejscem. Chyba poznałam już wszystkich. Ciekawe, czemu Randolf tak mnie nie znosi.

- Sądzę, że już ci to wyjaśnił.
- Zatem nie kłamał w sprawie spadku?
- Nie.

Coś ją nagle zastanowiło.

- Pewnie stałeś tam dość długo, by wszystko słyszeć.
- Owszem.
- Jake...

Zacisnął ręce na kierownicy.

- Chociaż Randolf temu zaprzecza, jestem jego kuzynem. Czy to chciałaś usłyszeć?

- Czemu miałby zaprzeczać?

- Ponieważ mój ojciec, Weston Chesterfield trzeci nie ożenił się z moją matką. Jestem Chesterfieldem z krwi i kości, lecz nieślubnym. Randolf mnie nie znosi.

- Ale to nie jest jedyny powód jego niechęci.

- Nie, jego nienawiść wzrosła, gdy dziadek zapisał mi ranczo, ale pod jednym warunkiem...

- Że się ożenisz?
- Właśnie.
- A gdybyś się nie ożenił?
- Dostałby je Randolf.
- Czemu dziadek zrobił takie zastrzeżenie?
- Ponieważ był starym głupcem, który chciał mieć dużo wnuków.
- Ale...

- Koniec dyskusji. - Zatrzymał się pod wielkim krzewem bawełny i wyłączył silnik. Wokół rozpościerały się pastwiska. - Teraz twoja kolej.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.
 - Niedaleko północnego skraju mojej posiadłości. Nikt tędy nie jeździ, oprócz moich ludzi, a kawałek dalej na zachód zaczynają się tereny dziadka. Powinniśmy je połączyć.
 - Nie wpadnę na nikogo? - zażartowała.
 - Na pewno będzie bezpieczniej niż na tej cholernej drodze do Chesterfield.
 - Usiłujesz zminimalizować szkody?
 - Mniej więcej. Moja polisa nie uwzględni ciebie. Jesteś gotowa?
- Ku zdziwieniu Wynne, Jake nie wysiadł z samochodu, tylko przysunął się do niej. Potem wziął ją na kolana.
- Nie skarżę się - powiedziała, tuląc się do niego - ale wydało mi się, że chcesz nauczyć mnie zmieniać biegi.
 - Owszem.
 - Z wysokości twoich kolan może okazać się to niemożliwe.
 - Błędne rozumowanie. To idealna pozycja szkoleniowa.
 - Nie dosięgnę sprzęgła - poskarżyła się.
 - Bo nie ma potrzeby. Wiesz już, gdzie są poszczególne urządzenia. Musisz się nauczyć, jak je ze sobą zgrać.
- Wynne nerwowo przełknęła ślinę.
- Wciąż mówimy o nauce jazdy? - spytała matowym z pożądania głosem.
 - A o czym innym? - Uniósł brew.
- Wolała nie odpowiadać na to pytanie.
- To zaczynajmy - mruknęła.
 - Doskonale, zacznijmy od pierwszego biegu. - Pochylił się tak, że czuła na wargach jego oddech. - Pierwszy bieg służy do ruszania. Przypomina to nieco... pierwszy pocałunek.
 - Pocałunek?
 - Pierwszy pocałunek - skorygował ją.
 - Czy to jakaś różnica? - Przechyliła na bok głowę.
 - Możesz mi wierzyć, że tak. Jeśli jesteś sprytna i chcesz, żeby

wszystko potoczyło się gładko, podchodzisz do sprawy jak do pierwszego pocałunku, delikatnie i powoli. O tak. - Musnął wargami jej usta.

Zamknęła oczy.

- Delikatnie i powoli - powtórzyła.

- Tak jest. Jeśli zrobisz to delikatnym ruchem, bez zgrzytów włączysz pierwszy bieg. - Przesunął językiem po jej wargach. - Zrozumiałaś”?

- Chyba tak - westchnęła. - Powinnis'my to jednak powtórzyć dla utrwalenia materiału.

Jake nie dał się prosić. Bez zwłoki udzielił jej gruntownych informacji o jedyńce.

- Myślę, że dochodzimy do dwójki - powiedział po kilku minutach.

- Skąd wiesz?

- Silnik zaczyna coraz głośniejsze pracować. Kiedy już ryczy, to znak, że jedyńka już nie wystarcza. Wtedy wrzucasz kolejny bieg.

- " Czyli dwójkę? - Odchyliła w tył głowę, odsłaniając szyję.

- Zgadza się. - Przesunął po niej wargami. - Jeśli jedyńka jest pocałunkiem, dwójka to już dotyk. Lekkie pobudzenie przed tym, co dopiero nastąpi.

Wynne zadrzała pod niecierpliwymi palcami Jake'a.

- Jak długo to trwa?

- Zależy od tego, gdzie się znajdujesz. - Rozpiął jej bluzkę.
- Nó i jaki masz impet. Jeśli coś ci przeszkodzi, musisz czasem wrócić nawet do jedyńki.

- A jeśli impet jest za mały, co wtedy?

Bluzka rozchyliła się. Jake przesunął palcem wskazującym wzdłuż stanika.

- Dodajesz gazu i jedziesz coraz szybciej. Kiedy silnik znów zaczyna ryczeć, wrzucasz trójkę.

- A jaka jest trójka? - spytała, oddychając z trudem.

- Jak zuchwała pieszczota.

- Bardzo zuchwała?

Rozpiął biustonosz i zademonstrował.

- Przyspieszasz coraz bardziej. Trójka daje ci prędkość.

- Wiem. - Wtuliła twarz w ramię Jake'a. - Nie wyszłam poza trójkę. Bałam się jechać szybciej.

- W takim razie wspólnie przeskoczmy na czwórkę. - Odwrócił ją twarzą ku sobie. - Czwarty bieg właśnie tak wygląda, kochanie. Żadnych zahamowań, ostra jazda do przodu. Przez pewien czas wydaje ci się, że to już koniec...

Ręce Jake'a sięgnęły tajemnych miejsc, którym od słońca bardziej służy aksamitne światło księżyca. Wynne wstrzymała oddech. Mimo że wspinała się coraz wyżej, wiedziała, iż nie osiągnie szczytu. Nie teraz. Wpiła się palcami w ramię Jake'a.

- Mało!

- Wtedy wrzucamy piątkę! - Przycisnął ją do siebie tak mocno, że powtarzała każdy jego ruch i oddech. - Piątka jest wyzwoleniem. Prowadzi nas aż do końca drogi.

- A potem? - spytała z wysiłkiem.

- Potem nie ma już nic i zostaje tylko jedno wyjście.

- Jakie?

- Wrzucamy wsteczny i zaczynamy wszystko od początku.

- O tak! - szepnęła namiętnie. - Zabierz mnie na kolejną przejażdżkę.

- Co się dzieje, do cholery? - Jake wyskoczył z furgonetki jednym płynnym ruchem. Dusty, Buster i Chick stali w rządzie, wpatrując się w ziemię. - Przed chwilą minąłem Mad Doga szalejącego na północ stąd. Jak się wy dostał?

Cisza.

- Mój zarodowy ogier jest na tym samym pastwisku, co mój zarodowy byk i cała trójka nie ma mi nic do powiedzenia? Czy nie

wydaje wam się, że któryś z nich, albo oba, mogą skończyć jako materiał na hamburgery? - Złość Jake'a powiększało jeszcze nie rozładowane napięcie seksualne. - No, który zacznie?

- Chyba ja... - odchrząknął Dusty. - To był wypadek.

- Mad Dog uciekł z zamkniętego boksu, a ty to nazywasz wypadkiem? - Jake uniósł brwi.

Wynne wysiadła z ciężarówki i dołączyła do Jake'a.

- Buster, nie słyssałeś pytania? Co się stało?

- Przepraszam, wujku Jake. - Buster przetarł zażawione oczy.

- Chciałem pokazać Chickowi, jak się jeździ konno.

Jake zbladł.

- Ty go wyprowadziłeś?

Buster skinął głową.

- Widziałem, gdzie jest klucz i pomyślałem sobie, że spróbuję, czy twój koń będzie mnie woził. Jest kochany. Wyszedł za mną posłusznie jak mały szczeniak.

- Ten szczeniaczek to najgorszy sk... w całej okolicy. Gdyby nie dawał mi medalowego potomstwa, już dawno przerwałbym jego nędzny żywot. Mogłeś... - Zamknął oczy, usiłując nie dopuścić do siebie najgorszych myśli.

Chick wydał z siebie pisk i rzucił się do kolan Jake'a, omal go przy tym nie przewracając.

- To moja wina, szefie - mruknął Dusty. - Kiedy zobaczyłem tego dzieciaka z koniem, pogubiłem się. Zacząłem wrzeszczeć, a ten cholernik stanął dęba. Muszę przyznać, że szczeniak ma releks. Uskoczył spod kopyt, złapał braciszka za kołnierz i schował się na ganku.

- Miałeś ich pilnować, Dusty. - Jake zacisnął pięści. .

- Odwróciłem się tylko na momencik, szefie. Przysięgam.

- Och, Buster - westchnęła Wynne. - Wiesz dobrze, że nie wolno oddalać się bez zgody starszych. Wiesz również, że nie wolno ruszać bez pozwolenia cudzej własności.

- Jeśli nie wiedział, to teraz się nauczy - oznajmił Jake. - Wy dwaj - skinał na Bustera i Chicka - idźcie do stodoły i poczekajcie na mnie.

- Co zamierzasz z nimi zrobić? - zaniepokoiła się Wynne.

- Porozmawiać z nimi po męsku. Jeśli będą mieli szczęście, uda im się usiąść pod koniec tygodnia. A ty - zwrócił się do Dusty'ego - jeśli chcesz zachować pracę, zbierz ludzi i złapcie mi tego ogiera.

- Tak jest, szefie. - Dusty pokuśtykał w stronę jeepa.

- Jake?

Wynne trąciła go w ramię. Stał odwrócony tyłem do niej. Bał się, że jeśli spojrzy jej w oczy, nie zdoła ukarać chłopców.

- O co chodzi?

- Upewnij się, że zrozumieli swój błąd. Inaczej niczego się nie nauczą.

Minęła dłuższa chwila, nim pojął, o co jej chodzi.

- Co takiego?

- Ranczo w Teksasie różni się zasadniczo od mieszkania w Maryland. Nie wiem, czy zdołali to zauważyć.

Powoli odwrócił się w jej stronę i zaufanie we wzroku Wynne sprawiło, iż opanował się.

- Boisz się, że zrobię im krzywdę?

- Nie bądź śmieszny. Wiem, że nie jesteś do tego zdolny, niezależnie od opinii Randolfa. Buster nie powinien ruszać tego konia. Jeśli tego nie rozumie, wyjaśnij, mu to.

- Sprawa będzie krótka.

- Nie ma pośpiechu. Ja zajmę się obiadem, a ty chłopcami.

Jake skinał głową i poszedł do stodoły. Chłopcy czekali na niego w środku. Buster zasłonił sobą brata, minę miał kamienną. „Męska rozmowa”, przypomniał sobie Jake.

- Przepraszamy za to, co się stało, wujku Jake. Obiecujemy, że się to więcej nie powtórzy - przerwał milczenie Buster.

Chick wychylił się zza brata i skinał głową, potem znów zaczął ssać kciuk.

- Cieszę się, że to słyszę - odwzajemnił gest Jake, kiwając głową. - W przeciwnym razie musiałbym zakazać wychodzić wam poza teren domu, a tak będziecie mogli pomóc w pracach na ranchu.

- Naprawdę będziemy mogli pomóc?

- Nie powiedziałbym tego, gdybym tak nie myślał.

- Obiecujemy zrobić wszystko, co każesz - zapewnił Buster.

Chick pociągnął brata za rękę i szepnął mu coś.

- Dobrze, spytam. Obaj mamy pomóc, prawda?

- Tak. Rancho tej wielkości potrzebuje każdej pary rąk. - Jake popatrzył surowo na Bustera. - Jest tu jednak dużo niebezpiecznych zwierząt i urządzeń. Jeden bezmyślny błąd i możecie zrobić sobie krzywdę. Nie chciałbyś, żeby Chick ucierpiał przez twoją nieostrożność, prawda?

- Nie, wujku - odparł ponuro Buster.

- To znaczy, że nie wolno ci robić niczego bez uprzedniej zgody. Zrozumiałeś?

- Tak jest.

Chick natychmiast zdecydowanie skinął głową.

- No tak, jest pewien problem. Przez wasze popisy kaskaderskie Dusty i moi ludzie mają dodatkowe zajęcie, co oznacza, że nie zdążą wykonać swoich zwykłych obowiązków.

- Może my to zrobimy - wyrwał się Buster.

Jake udawał, że się zastanawia.

- Wydaje mi się, że to znakomity sposób na zadośćuczynienie.

- Pokazał kciukiem na parę stojących w kącie wideł, - Zobaczymy, czy umiecie przerzucać siano.

Z satysfakcją popatrzył, jak chłopcy rzucili się do roboty. Odrobina ciężkiej pracy wygoni im figle z głowy. Miejmy nadzieję.

Pozostała Wynne. Uśmiechnął się i pogładził podbródek. Tu również nie powinno być problemów. Już coś wymyśli, żeby ją zająć. Jak choćby tę powtórkę ze zmiany biegów. Tym razem jednak nie skończy się na samym gadaniu o piątym...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jake siedział za biurkiem dziadka i przyglądał się zgromadzonej na dębowym blacie korespondencji i rachunkom. Wrócił do domu przed tygodniem, a wciąż piętrzyła się przed nim masa roboty. Miał nadzieję, że w Chesterfield znajdzie trochę spokoju, by nadrobić zaległości. Żadnych uciekających koni, zrzędliwych rządców, wścibskich dzieciaków. Nie będzie też żony o wielkich oczach, która uważa go za pępek świata.

Jednak zamiast wziąć się do pracy, wyobrażał sobie jej uśmiech, jasne włosy i zielone oczy. W ubiegłym tygodniu odczuwał nieodpartą pokusę, by jak najczęściej wyciągać Wynne na „lekcje jazdy”. Co gorsza, kiedy nie był z żoną, wymyślał chłopcom nowe zajęcia albo zastanawiał się, jak wydusić z Chicka choć jedno słówko.

Te rozmyślenia przerwał telefon.

- Hondo.

- Przypuszczałem, że cię tu zastanę - odezwał się w słuchawce głos Petera. - Rozmawiałem właśnie z sędzią Graydonem. Przyjął zaproszenie na obiad.

- Świetnie.

- Jemu również nie podoba się pomysł publicznego roztrząsania tych spraw. Co do terminu... może przyjść w sobotę wieczorem. Nie muszę dodawać, że Randolf protestował z całej siły. Nic z tego. Graydon poparł cię w tym względzie.

- Rozumiem, że mój kuzyn też się zjawi - powiedział z mniejszym entuzjazmem Jake.

- Obawiam się, że tak. Zasugerowałem mu, żeby przyprował Evie. Spodziejam się, że go nieco utemperuje.

- Nie za bardzo. Mam nadzieję, że wymogł na nim, żeby się hamował w obecności mojej żony.

- Oczywiście. Szczerze mówiąc, wątpię, czy będzie szukał drażki. Incydent w sklepie Belle był wystarczającą nauką.

- Chciałbym wierzyć, że się nie mylisz.

- W takim razie pozostaje tylko Wynne. Spodziejam się, że już z nią rozmawiałeś i wie, czego się po niej spodziejasz.

- To już moja działka. Ty martw się o stronę formalną.

- Świetnie. - Zaległa znacząca cisza. - Nie mogę się doczekać chwili, kiedy ją poznam, zważywszy, jakie wywarła wrażenie na wszystkich. Ludzie w miasteczku nie mówią, o niczym innym. Każdy ma do niej jakiś interes.

- Jaki? - zaniepokoił się Jake.

- Wiesz, jej udział w imprezie dobroczynnej, odwiedziny u obłożnie chorych, nieustanna obrona twojej osoby... - Peter zachichotał. - Jest gotowa skoczyć do oczu każdemu, kto źle mówi o jej mężu.

- Naprawdę? - uśmiechnął się Jake.

- Oczywiście. Kiedy przyjdzie pora, nie opędzisz się kijem od zalotników.

- Jakich zalotników? Co ty bredzisz? - zdumiał się Jake.

Przez dłuższą chwilę panowała niezręczna cisza.

- Randolph rozpuszcza w miasteczku pogłoski - odezwał się wreszcie Peter - że twoje małżeństwo jest fikcyjne. Gdy tylko sędzia uzna testament, rozwiedziesz się z nią natychmiast. Powiedz mi szczerze, czy to tylko plotki?

- Długość mojego małżeństwa jest wyłącznie moją sprawą.

- No i Wynne - zauważył chłodno Peter. - A zresztą... Każdy kawaler w promieniu stu kilometrów, który zamienił z nią choć słowo, aż się pali, by związać się z byłą panią Hondo. Wszyscy

uważają ją za idealną żonę. Ja też może dojdę do tego wniosku, kiedy ją poznam.

Była pani Hondo? Jake zacisnął pięści.

- Jak się będziesz na nią głupio gapił - warknął - to nie tylko okażesz się moim byłym prawnikiem i byłym przyjacielem, ale wyjdiesz stąd z byłymi zębami w garści.

Cisnął słuchawkę i opadł na krzesło. Niech Petera szlag trafi za roztaczanie takich perspektyw. Chociaż... poniekąd ma rację. Dla większości mężczyzn Wynne była ideałem żony, matki itd. Gdyby w poszukiwaniu męża, zamiast na Bal Kopciuszka przybyła do Chesterfield, kandydaci do jej ręki ustawialiby się w kolejce. Wcale też nie interesowałby ich tymczasowy związek.

Nie mogąc się uspokoić, Jake spacerował po wielkim domu dziadka. Zanim usiadł za biurkiem, przygotował sobie małą przekąskę. Niechętnie przyznał przed sobą, że kocha to ranczo prawie tak samo mocno, jak kochał dziadka. Jednak ta miłość łączyła się nierozzerwalnie z nienawiścią i niechęcią, co w konsekwencji powołało do życia dręczące go koszmary. Ranczo Chesterfield było symbolem wszystkiego, czego mu odmawiano w dziecin stwie. Aż do pełnoletności nigdy nie przekroczył tego progu. Wówczas było już jednak za późno.

Było to piękne miejsce, aż proszące się o rodzinę. Dziadek często powtarzał, że bez śmiechu dzieci i tupotu małych nóżek nie będzie to prawdziwy dom. Jake po raz pierwszy zrozumiał jego słowa.

Wszędzie panowała pustka, bez zapachu pieczonych ciasteczek czy kuszącej woni damskich perfum powietrze wydawało się zatechłe i ciężkie. Pokoje były czyściutko wysprzątane, ani śladu porzuconej książki, szmatki czy zabawki. Zamknął oczy i wyobraził sobie Wynne i dzieciaki w tym domu. Obraz był aż nadto pociągający.

Zdusił przekleństwo, wrócił do gabinetu i złapał kapelusz. Głupi

wnuczek głupiego dziadka. Jes'li nie wyjdzie stąd, gotów zrobić coś naprawdę głupiego. Zabierze tu Wynne i chłopców, i eby wreszcie ożywić ten dom.

- Wynne, jesteś tu? - Jake zdjął zabłocone buty, czego nie robił od lat, i otworzył drzwi do kuchni. - Elfie?

- Uważaj, Jake! - usłyszał przestraszony głos żony. - Nie wchodź tu!

- Dlaczego? - Wszedł i z niedowierzaniem spojrzał na Wynne.
- Co robisz na tej ladzie?

Buster stał na blacie lodówki i krzyczał:

- Tutaj, wujku Jake!

- Powieście mi wreszcie, co się tu dzieje?

Otworzyły się drzwiczki kredensu. Ze środka wyjrzał Chick i pokazał wymownie na płamę słońca na podłodze.

Jake spojrzał i błyskawicznie cofnął się.

- Próbowałam cię ostrzec - rzekła Wynne.

- Następnym razem, zamiast „Uważaj” i „Nie wchodź tu”, krzycz „Waż”. Domyślę się, o co ci chodzi. - Popatrzył na grzejącego się w słońcu gada i aż gwizdnął. - To największy grzechotnik, jakiego widziałem w życiu.

- Nie wiedzieliśmy, co to jest, ale woleliśmy nie ryzykować.

- Bardzo mądrze, kochanie. - Zerknął na nich z niepokojem.

- Wszyscy cali, nikogo nie ugryzł?

- W porządku - zapewniła go Wynne.

- Chickowi bardzo chce się siku - oznajmił Buster. - Myślałem, czy nie mógłby polać tego węża, ale boję się, że to go rozścierczy i wlezie tu do nas na górę.

- Podzielał tę opinię. - Jake z trudem zachowywał powagę.

Waż zwrócił trójkątny łeb w jego stronę. Ogon zagrzechotał ostrzegawczo. Jake zamarł, wiedząc dobrze, że w takiej sytuacji nie należy wykonywać gwałtownych ruchów.

- Czy mógłbyś go stąd usunąć? - spytała nerwowo Wynne.
- Czy mógłbym...? - Zmierzył dystans dzielący go od gada.
- No pewnie. Zaraz się tym zajmę. - Doszedł do wniosku, że jest wystarczająco daleko, by uniknąć niespodziewanego ataku i wycofał się do sionki. Wskoczył w buty.

- Wyjaśnij mi, skąd się to tu wzięło?

- Wcale go nie zapraszałam. Musiał ułożyć się do snu zimowego w skrzyni na drewno. Chciałam rozpalic w piecu, otworzyłam skrzynię i zobaczyłam go...

- Wszystko jasne. - Zamknął oczy. Wolał nie wyobrażać sobie, co mogło się stać. - Posłuchaj, Wynne, muszę wejść do domu, a nasz nieproszony gość nie przepuści mnie bez ukąszenia. Pobiegnę do głównego wejścia i wrócę jak najszybciej. Nie ruszajcie się z miejsc.

- Nie ma sprawy - usiłowała uśmiechnąć się Wynne.

Jake, nie tracąc czasu, wyskoczył z sionki i pognał jak wszyscy diabli. Po trzydziestu sekundach był już w środku, wziął strzelbę i naboje. Ładując ją, poszedł w stronę kuchni. W drzwiach przystanął i poszukał wzrokiem węża. Nadal wygrzewał się w słońcu.

- Wszyscy odwrócić się - polecił.

- Co zamierzasz zrobić z tą strzelbą? - spytała podejrzliwie Wynne.

- A jak myślisz? Wyekspeduję go do królestwa zwierząt.

- Tu, w kuchni? - oburzyła się.

- Tu i teraz. - Podniósł strzelbę. - Zamknijcie oczy, będzie trochę bałaganu.

- Jake, nie możesz!

- Co znaczy, „nie możesz”? Jestem doskonałym strzelcem.

- Nie przy dzieciach - ściszyła głos.

- Dlaczego nie przy dzieciach? - dopytywał się Buster. - Chcemy zobaczyć, jak wujek Jake ekspeduje węża do królestwa zwierząt.

Chick skinął głową, wyjął kciuk z buzi i wycelował palec wskazujący w węża.

- Pchchch!

- Chick, ty mówisz! - ucieszyła się Wynne.

- To nie żadne mówienie, tylko dźwięk imitujący strzał - skrzywił się Buster.

Wynne przez chwilę czuła się rozczarowana.

- Nic nie szkodzi - powiedziała w końcu, uśmiechając się do Chicka. - W swoim czasie zaczniesz mówić.

- Przepraszam, ale czy moglibyśmy skupić się na poważniejszym problemie? - niecierpliwił się Jake.

- Oczywiście. Waż. Wolałabym, żebyś do niego nie strzelał w kuchni. Właściwie, to nie chciałabym, żebyś w ogóle do niego strzelał. - Spojrzała błagalnie na Jake'a. - Czy nie moglibyśmy po prostu gdzieś go przenieść?

Opuścił strzelbę.

- Wciąż mi nie wierzysz? To dowiedz się, że to grzechotnik, drugi pod względem jadowitości wąż w USA. Wiesz, co to znaczy?

Wynne otworzyła szerzej oczy i pokiwała głową.

- To oznacza, że ten gad spotka się ze swym rodzicem, a ja go tam wyślę. Jeśli wokół domu napotkam jeszcze jakichś jego kuzynów, braci lub siostry, też dołączą do niego w „węzowym raj”. - Z niedowierzaniem pokręcił głową. - Co się do diabła ze mną dzieje? Stoję tu i gadam z tobą, zamiast wziąć się do roboty.

- Ale...

- Daj spokój. Czy naprawdę chcesz ryzykować ukąszenie kogoś z chłopców? Bo tak się stanie, jeśli go nie zabiję.

- Oczywiście, że nie chcę narażać dzieci, ale czy nie mógłbyś go zabić gdzieś na zewnątrz?

- Jak mam to zrobić? Powiedzieć mu: „Hej, stary, może byś tak wypęłzył stąd, to pogadamy sobie jak człowiek z wężem?”.

Nagle przez kuchenną sionkę wpadł Dusty.

- Skąd to całe zamieszanie? - wysapał. - Widziałem, że pędzisz, jakby ci się pod tyłkiem paliło.

Zobaczył węża, zamilkł i powoli zaczął się cofać.

Najwyraźniej Dusty przechylił szalę. Wściekle tłukąc ogonem, wąż skierował się na niego.

- Na co, cholera, czekasz, szefie?! - wrzasnął Dusty. - Zastrzel tego sk...

- Przepraszam, stary, ale żona mi nie pozwala. I nie wyrażaj się przy dzieciach!

- To nie jest śmieszne, Jake! Dalej! Przyłóż do ramienia ten kij ognisty i rozwal go!

- Nie wcześniej, aż mi Wynne pozwoli.

- Mam coraz mniejsze szanse - błagał Dusty, widząc, jak wąż skraca dzielący go od niego dystans. - Co mam zrobić, opluć go? Strzelaj!

- Wynne?

- Szefieeee!

- Dobrze, zastrzel go! - wrzasnęła Wynne.

Wąż odwrócił się w jej stronę, gotów do zadania ciosu. To był jego ostatni ruch.

Huk wystrzału ogłuszył wszystkich. Zerkając przez palce, Wynne ujrzała Dusty'ego leżącego nieruchomo na plecach. Nad nim unosił się kurz. Wąż leżał obok małej dziury w podłodze.

- Dusty - wyszeptala zbiełałymi wargami. - O, nie! Co ja narobiłam? Dusty, odezwij się! Żyjesz?

- Zemdlął - oświadczył sucho Jake. - Z nadmiernego podniecenia.

Rządca ocknął się z jękiem. Usiadł, rozejrzył się wkoło i zobaczył martwego węża.

- Chyba trafił mi się nowy pas - powiedział z szerokim uśmiechem. - A może i pejcz. - Podniósł gada za ogon i zwrócił się do Wynne: - Chcesz grzechotkę na breloczek do kluczy?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Jake porwał ją z lady i objął.

- Prawie przestraszyłaś mnie na śmierć - mruknął. - Nie można zostawić cię samej na pięć sekund.

Objęła go w pasie i przytuliła się do niego. Ogarnęła ją dobrze znana niemoc, czyniąc ją głuchą i ślepą na wszystko, prócz Jake'a. Działo się tak zawsze, gdy był przy niej i nic na to nie mogła poradzić.

- Następnym razem po prostu go zastrzel.

- Nie pytając żony o zdanie? Dziękuję, tak właśnie zrobię. Wyłażcie chłopcy. Przedstawienie skończone.

- To było super! - entuzjazmował się Buster. - Nauczysz mnie strzelać?

- Nie ma mowy - zaprotestowała Wynne, niechętnie uwalniając się z objęć Jake'a.

- Zbyt będziesz zajęty pakowaniem.

- Pakowaniem? - zdumiała się cała czwórka.

Jake skrzyżował ręce na piersi, wysunął podbródek ruchem znamionującym upór.

- W Lost Trail nie jest bezpiecznie, dlatego przeprowadzamy się na rancho mojego dziadka.

Dusty ze zdumienia otworzył usta.

- Zwariowałaś? Mamy się przeprowadzić do Chesterfield z powodu jednego starego węża?

- Tak.

- Po co? Grzechotniki są czymś pospolitym w całym cholernym Teksasie. Nie możesz przybić im w Chesterfield tabliczki „Wstęp wzbroniony”.

- Decyzja jest ostateczna. - Jake zerknął na swego rządcę, ucinając dalszy spór. - Ktoś ma jakieś zastrzeżenia?

- A co z moimi ciasteczkami? - spytała Wynne.

- Czy możesz powtórzyć? - Jake nie wierzył własnym uszom.

- Miałam je upiec dla pani McCracken. Ciasto już gotowe.

- Pokazała na wielką glinianą dzieżę.

- Kto to jest pani McCracken? - nasrożył się Jake.
- Wiesz, ta chorowita stara zręda, która mieszka obok szkoły. Cieszy się słabym zdrowiem - wyjaśnił Dusty.
- Choruje na ischias. Zauważyłam notatkę w sklepie Belle, więc pomyślałam, że razem z chłopcami możemy coś dla niej zrobić. Ucieszy się z naszego towarzystwa.
- Z ciebie to prawdziwa Polyanna - mruknął Dusty. - Ciasteczka na jedno przyjęcie dobroczynne, ciastka czekoladowe na drugie i jeszcze dla biednych sierotek.
- Jakich sierotek? - zaniepokoiła się Wynne. - Nic o nich nie słyszałam.
- Bo... ee... nie ma żadnych - zająknął się Dusty. Wynne przechyliła na bok głowę. Coś nagle przyszło jej na myśl.
- Wicie, chyba zrobiłam za dużo ciasta. Pewnie zostałyby mi trochę ciasteczek, ale... - westchnęła. - Chyba nie.
- Dusty złapał grzechotnika w pól. Na twarzy rysował mu się pożądlivy uśmiech.
- Co, nie?
- Chyba takim mężczyznom, jak wy, wcale na tym nie zależy.
- Popatrzyła na niego z niewinną miną. - Kowboje chyba nie jedzą ciasteczek.
- Dusty poczuł się rozdarty między dumą a łakomstwem.
- Nie śmiem odmówić przez grzeczność - rzekł wreszcie. - Pomożemy ci się ich pozbyć, jeśli nikt ich nie zechce.
- Jestem wdzięczna. - Postanowiła, że od tej chwili zawsze będzie piekła dodatkowe ciasteczka. - Och, niemal zapomniałam.
- Podeszła do dzieży, wyjęła z ciasta ślubną obrączkę i włożyła na palec. - Ten wąż tak mnie zdenerwował, że zupełnie zapomniałam, że mi się ześlizgnęła z palca.
- Powinniśmy dać ją do zmniejszenia, zanim ją zgubisz. - Jake kopnął skrzynię na drewno. - A dzieżę możesz włożyć do furgonetki. Upieczesz w kuchni u dziadka, to pomoże stworzyć tam atmo-

sferę domu. - Zapach ciastek i włosów Wynne. - Ruszcie się ludzie, robota czeka.

- Najpierw mieszkaliśmy tu z konieczności - pokręcił głową Dusty. - Potem przeprowadziliśmy się do Chesterfield, gdzie czułeś się źle. Następnie wróciliśmy do Lost Trail, bo się ożeniłeś. Teraz, po dziesięciu dniach wracamy do Chesterfield. Zdecyduj się, szefie, bo już kręci mi się w głowie.

Przeprowadzka trwała dłużej, niż się spodziewali, i nie udało się zakończyć wszystkiego przed sobotą. Wynne odłożyła na potem rozpakowywanie rzeczy osobistych, bo musiała zająć się przygotowaniem kolacji. Przyniosła stopy talerzy do jadalni i umieściwszy je na bufecie, rozejrzała się wokół z satysfakcją. Stół mógł pomieścić dwanas'cie osób, o wiele więcej niż potrzeba, lecz na pewno przyda się podczas Święta Dziękczynienia.

- Halo! Jest tam kto? - Do jadalni wszedł mężczyzna z wielkim bukietem kwiatów i stanął jak wryty na jej widok. - Ty jesteś Wynne, żona Jake'a?

- Zgadza się - odparła, zastanawiając się, czemu tak zdumiał go jej widok. - A ty...?

- Przepraszam - zreflektował się. - Peter Bryant, prawnik Jake'a i od czasu do czasu jego przyjaciel. Nie powinienem się tak gapić, ale nie tak sobie wyobrażałem żonę Jake'a. Mój przyjaciel ma lepszy gust, niż myślałem.

- Miło mi poznać. - Pochyliła głowę na bok. - Czemu przyjaciel od czasu do czasu?

- Mam niemiły zwyczaj wkurzania go - wyznał.

- Kiedy to się dzieje, przestajecie być przyjaciółmi?

- On tak twierdzi.

- Czy to dla mnie? - Zerknęła na kwiaty.

- Oczywiście. - Wręczył jej bukiet. - Powitalny prezent do broszedzki. Niestety, nieco spóźniony. Mam jednak przynaj-

mniej wymówkę, by zobaczyć się z tobą przed dzisiejszym przyjęciem.

- Nie potrzebujesz żadnych wymówek - roześmiała się Wynne.
- Kwiatów też nie musisz przynosić. Zawsze jesteś mile widziany.
- Prawdę mówiąc, wolałbym je przynieść ze szczerego serca. Jednak musiałem się upewnić, czy jesteście przygotowani na dzisiejsze przyjęcie.

Spojrzała na niego badawczo. Czyżby ten wieczór był ważniejszy, niż sądziła?

- Chyba jesteśmy. Wszystko zbiegło się co prawda na ten sam dzień: przeprowadzka i przyjęcie. Czy wiesz, że będzie to nasza pierwsza noc w tym domu?

- Jake coś o tym wspominał. Nie mogę zrozumieć, czemu od razu was tu nie ulokował. Będziesz musiała jednak odpowiedzieć na kilka pytań.

- Czy jestem gotowa na dziś wieczór? - Skinęła w stronę bufetu. - Właśnie nakrywam stół. Podanie jedzenia nie zajmie dużo czasu i...

- Dom wygląda prześlicznie i jestem przekonany, że kolacja wypadnie znakomicie. - Zmarszczył brwi. - Nie martwi cię powód, dla którego się spotykamy?

- Prawdziwym powodem... - Umilkła, bo w tonie Petera wyчуła coś, co ją zaniepokoiło. - Może kawy?

- Tak, poproszę, a także kilka tych słynnych twoich ciasteczek - dodał z chłopcą zachłannością.

- Bardzo poprawiły moje stosunki z Dustym - uśmiechnęła się.

- Nie do wiary, co mężczyźni są gotowi oddać za talerz ciastek.

- Muszą być niezwykle. - Poszedł za nią do kuchni i z wprawą bywalca wyjął z kredensu dwie filiżanki, a następnie napełnił je świeżo zaparzoną kawą. - Jaką pijesz?

- Z mlekiem i cukrem.

Peter zajrzał do lodówki i wyjął stamtąd karton mleka.

- Rozumiem, że Jake mówił z tobą o dzisiejszym wieczorze.
- Oczywiście. - Ułożyła ciasteczka na talerzyku i usiadła przy kuchennym stole. - Byłam trochę zaskoczona, gdy dowiedziałam się, że zjawi się Randolph. .

Peter sięgnął po ciasteczko.

- Nie darowałaby sobie tego za nic w świecie. Wciąż ma nadzieję, że zdoła pozbawić Jake'a spadku. Są wspaniałe. Nic dziwnego, że Dusty skacze wokół ciebie na dwóch łapkach.

- Dziękuję. Odkąd mam ich pełne pudełko, jesteśmy najlepszymi kumplami. Czegoś tu nie rozumiem. - Pokręciła głową. - Skoro Jake i ja jesteśmy prawowitym małżeństwem, to czemu Randolph ma nadzieję pozbawić mojego męża spadku?

- Ponieważ sędzia Graydon nie uznał jeszcze tego małżeństwa. Nie może tego zrobić, zanim z wami nie porozmawia i nie uzyska potwierdzenia, że ty i Jake... no, rozumiesz. - Sięgnął po następne ciastko. - Myślałam, że Jake wszystko ci wytłumaczył.

Pochyliła się nad filiżanką, bo zdała sobie nagle sprawę, że jest mnóstwo rzeczy, o których nie ma pojęcia.

- Musiało mi to wylecieć z głowy. .

- Gdybym nie znał sprawy, może nawet byłoby to śmieszne. Zanim Jake cię poślubił, wszystko wydawało się takie proste. Miał znaleźć praktyczną kobietę...

- Praktyczną? Nic dziwnego, że zdumiałeś się na mój widok.

- Niezupełnie spełniasz te kryteria - przyznał. - Nie w tym rzecz. Najistotniejszym punktem testamentu jest to, żeby żona stała się przed sędzią i złożyła stosowne oświadczenie. Jednak odkąd sprowadził cię do domu, stał się bardzo drażliwy w tej kwestii.

Jakie warunki? Co za oświadczenie? Nie miała odwagi zapytać wprost. Peter najwyraźniej uważał, że Jake wszystko jej wyjaśnił. Kolejne pytanie: Czemu tego nie zrobił?

- Więc mówisz, że Jake zrobił się drażliwy w tej sprawie?

- Nie chce stawiać cię w niezręcznej sytuacji. Prosił mnie, że-

bym namówił sędziego na bardziej kameralne spotkanie. Przynajmniej nie będziesz musiała stawać przed sądem i w obecności całego Chesterfield informować go, że wasze małżeństwo zostało skonsumowane. Chociaż nawet przy kolacji będzie to krępujące.

Zbladła i gwałtownie odstawiła filiżankę.

- Więc muszę...

- Nieprawdopodobne, co? - pokiwał głową, Peter. - Pan Chesterfield był zwariowanym dziwakiem. Jednak postanowił ożenić Jake'a w pełnym tego słowa znaczeniu.

- Ale dlaczego?

- O to musisz spytać Jake'a. - Dopił kawę i wstał, chwytając przy tym dwa kolejne ciasteczka. - Przykro mi, że zjadam i zmykam, ale musiałem upewnić się, czy wszystko gra.

- Jestem wdzięczna za troskę, nawet bardziej, niż mógłbyś przypuszczać.

- Dziękuję za gościnę, do zobaczenia wieczorem.

Po wyjściu Petera Wynne przez godzinę przygotowywała jadalnię, wciąż zastanawiając się nad tą rozmową. Nie rozumiała, czemu mąż jej o niczym nie powiedział. Może odkładał to na ostatnią chwilę? Bez sensu.

Wczesnym popołudniem wszystko było gotowe. Łsniły wyczeszone srebra, a stół i krzesła wypolerowała do połysku. Kwiaty od Petera stały pośrodku w srebrnym wazonie. Teraz tylko wziąć prysznic i przebrać się.

Jake wszedł do sypialni, akurat gdy wyłaniała się z łazienki.

.- Widziałem stół. Wspaniała robota, dziękuję.

- Nie chciałam dawać Randolfowi powodu do narzekań.

- To go nie powstrzyma - uśmiechnął się.

- Czy Dusty i chłopcy już pojechali?

- Przed chwilą. Są podnieceni perspektywą nocowania pod gołym niebem z prawdziwymi kowbojami. Chick o mało nie przemówił.

- Wkrótce zacznę mówić, wiem to. - Pętla żalu i smutku, która ścisnęła jego krtań, rozluźniała się coraz bardziej. Wynne nie mogła wprost doczekać się chwili, kiedy Chick przełamie wreszcie swe milczenie. - Wszyscy są dla niego tacy dobrzy... ty, Dusty i pozostali chłopcy. Czuje się przy was bezpiecznie.

- Cieszę się, bo to dobry dzieciak. - Jake chwycił głęboki wdech. - Musimy porozmawiać - powiedział wreszcie.

No, teraz powie mi prawdę o celu tej kolacji.

- Jakiś problem?

- Nie... Ale powinnaś wiedzieć, że sędzia Graydon może ci zadać kilka pytań.

- Jakich pytań?

- Dotyczących naszego małżeństwa. - Przeciagnał dłonią po mokrych włosach Wynne. - To wścibski staruszek, więc potraktuj go z przymrużeniem oka, dobrze?

- Ale chcesz, żebym odpowiadała na pytania.

- Tak. Jeśli posunie się za daleko, przerwę mu.

Wynne spojrzała na Jake'a, chcąc powiedzieć mu o tym, co usłyszała od Petera. Kiedy dostrzegła jego wzrok, ugryzła się w język. Duma i nieustępliwość połyskiwały w jego złotych oczach, co od razu wyjaśniło jej wszystkie wątpliwości. Nie powiedział jej całej prawdy o powodach dzisiejszego spotkania, bo ją chronił, podobnie jak wtedy, kiedy Randolph zaatakował ją, u Belle, czy kiedy zagrażał jej wąż. Miał nadzieję, że się nie zorientuje.

Jej rycerz szykował się do bitwy.

- Och, Jake - szepnęła. - Czy kiedykolwiek podziękowałam ci za to, że zjawiłeś się w moim życiu?

Zamknął oczy.

- Robisz to codziennie, elfie.

- Najwyraźniej nie dość często. - Zarzuciła mu ręce na szyję. Tak naprawdę, to chciała powiedzieć, że go kocha, lecz nie s'miała

utrudniać mu życia po tym, co zrobił dla niej i chłopców. Nie mogąc się powstrzymać, pocałowała go.

- Nie starczy nam na to czasu, co? - jęknął w odpowiedzi.
- Nie za bardzo, zwłaszcza jeśli chcemy powitać gości w progu.
- Możemy zostawić drzwi otwarte i kartkę z prośbą, by obsłużyli się sami. Jeśli zabawimy wystarczająco długo, sędzia nie będzie musiał zadawać żadnych pytań...

- Na temat tego, co robiliśmy?
- Właśnie.
- Czy mogliby mieć jakieś wątpliwości? - droczyła się. - Jaka kobieta zdoła ci się oprzeć.

Jake roześmiał się głośno.

- Sama jesteś nie do odparcia. Włóż coś na siebie, droga żono, a ja wezmę prysznic. W przeciwnym razie powiem „do diabła z gośćmi” i nie wypuszczę cię z łóżka przez dwadzieścia cztery godziny.

- Kusząca perspektywa, panie Hondo. Bardzo kusząca.

Pocałował ją z namiętnością, która bardziej od słów powiedziała, jak bardzo jej pragnął. To dawało jej nadzieję.

Czyżby to była fałszywa nadzieja?

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Musiała pani doznać szoku na widok tego grzechotnika - powiedział sędzia Graydon, kręcąc w zadumie głową.

- Mniej więcej takiego jak ja, gdy Buster próbował ujeźdzać Mad Doga - rzekł kwas'no Jake.

Sędzia napił się kawy i zerknął spod ciężkich, krzaczastych brwi.

- Posiadanie rodziny wiąże się z odpowiedzialnością.

- Zauważyłem to.

- Czy rodzina jest tego warta?

Jake zerknął na Wynne.

- O tak, i to nawet bardzo.

- Dajcie spokój - mruknął z odrazą Randolph. - Ciekawe, co nam jeszcze powie. Żeby dobrać się do spadku, jest gotów na wszystko, nawet posunąć się do kłamstwa.

Filiżanka Wynne zadzwoniła o spodeczek.

- On wcale nie kłamie - zapewniła gorąco. - Ja też nie. A skoro o tym mowa, to Jake i ja spaliśmy ze sobą w noc poślubną... - Zawałała się i sprostowała: - Właściwie, to już świtało. Mniejsza z tym. Grunt, że jesteśmy solidnie skonsumowanym małżeństwem. Tak. Skoro mamy to już za sobą... Komu jeszcze ciasta?

- Kto jej powiedział? - zacisnęła pięści Jake, potem wpił wzrok w Petera. - Ty!

- Ja... ja rzeczywiście wpadłem nieco wcześniej - zająknął się prawnik - ale tylko po to, by sprawdzić, czy wszystko jest przygotowane.

- Ty suk...
 - Chwileczkę - zaprotestował Peter. - Czemu jesteś taki wściekły? Nie powiedziałeś jej, co ma być dziś wieczorem?
 - Nie - warknął Jake.
 - A mówiłeś, że powiedziałeś.
 - Skłamałem!
 - Widzicie, ciągle kłamie - wtrącił Randolf.
 - Czemu jej, do cholery, nie powiedziałeś? - spytał rozgoryczony Peter. - Czego się spodziewałeś?
 - Tego, że sędzia zada jej kilka subtelnych pytań. - Jake skrzyżował ramiona na piersi. - Tak subtelnych, żeby nie domyśliła się prawdziwego powodu przesłuchania.
 - Czemu chciałeś załatwić to w ten sposób, Jake? - spytał sędzia, marszcząc brwi.
 - Bo chciałem oszczędzić jej wstydu - przyznał po chwili milczenia Jake.
 - Chciał mnie chronić - wyjaśniła Wynne, posyłając mężowi oszałamiający uśmiech. - Jak zwykle postępuje szlachetnie.
- Randolf zerwał się na równe nogi.
- W tym człowieku nie ma krzty szlachetności. Nie dba również o niczyje uczucia. Powiem wam, dlaczego przemilczał tę klauzulę... Bał się, że ona go opuści. Żadna normalna kobieta nie omawiałyby publicznie takich detali, chyba że pod przymusem.
 - Miałabym go opuścić? - Wynne odchyliła się w tył, oczy zaślniły jej jak klejnoty. - Uważacie, że czuję się zawstydzona bądź upokorzona wyznaniem, że zostałam żoną Jake'a w pełnym tego słowa znaczeniu? Otóż jestem z tego dumna i jeśli mnie o to poprosi, ogłoszę to całemu światu.
 - On cię wykorzystuje - z nienawiścią w głosie powiedział Randolf. - Skoro tego nie widzisz, jesteś chyba ślepa.
 - Z tego, co mówisz, wynika, że słabo znasz Jake'a.
 - Niestety, znam go od lat - irytował się Randolf. - Wydaje się,

że odnosisz fałszywe wrażenie, iż jest miłym kotkiem. Błąd. Ten człowiek jest podstępny zdrajcą, który chodzi ciemnymi ścieżkami. Kiedy tylko odwrócisz się do niego plecami, wbije ci nóż.

Jake opadł na krzesło i odchyliwszy je, bujał się na tylnych nogach. Uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Wiesz, Chesterfield, od lat nie mogłeś się doczekać chwili, kiedy wszystko mi wygarniesz. Teraz masz okazję.

- Masz rację - wycodził Randolf, napinając mięśnie. - W obecności sędziego nie będziesz mógł na mnie napaść, za to, że mówię prawdę.

- Swoją wersję prawdy - poprawił go Jake.

- Moją i całego miasteczka. - Randolf oparł ręce na stole, - Jesteś nicponiem, Hondo, podobnie jak twoja matka. Jedyna różnica pomiędzy wami polega na tym, że ty miałeś więcej szczęścia. Gdyby staruszek nie pragnął tak rozpaczliwie wnuka, nic byś nie dostał.

- Nic nowego, Chesterfield - wzruszył ramionami Jake. - Dziadek powiedział mi to wyraźnie. Gdyby miał prawowitego wnuka, zostawiłby mnie w rynsztoku. No i co? Nigdy nie chciałem iść z dziadkiem. Gdyby sąd nie nalegał na wypełnienie jego woli, nie kiwnąłbym palcem w bucie. Przynajmniej wiedziałbym, na czym stoja.

- Ale z nim poszedłeś. Potem pojawiłeś się w mieście, chcąc rozprawić się z każdym, kto znał twoją matkę.

Jake z trzaskiem opuścił krzesło na podłogę.

- Raczej powiedz, że zostałem tu przywleczony i musiałem wywalczyć sobie każdy centymetr przestrzeni.

- Zależało ci, bo Chesterfield wyrzucił stąd twoją matkę.

Jake zaśmiał się mrozącym krew w żyłach śmiechem.

- Nie wyrzucił jej, wcale nie musiał. Cisnął jej tylko parę groszy, a ona sama stąd odeszła, wdzięczna nawet za to.

- A jednak przybyłeś się zemścić. Podbiłeś oczy wszystkim, którzy krzywo na ciebie patrzyli i nie przepuściłeś żadnej kobiecie w miasteczku.

Evie wstała i podeszła do męża.

- Przestań, Randolfie. Sam nie wiesz, co mówisz.

- Wiem doskonale. Niech słodka pani Hondo dowie się wreszcie prawdy. Nieźle, co? - Spojrzał szyderczo na Wynne.

- Jakiej prawdy? Że Jake jest nieślubnym dzieckiem? - Wzruszyła lekceważąco ramionami. - Sam mi o tym powiedział. Nie jest temu winien, choć najwyraźniej jesteście innego zdania.

- Obarczam go odpowiedzialnością za to, co wyprawiał w mieście. A może nie obchodzi to pani, że dyskutował za pomocą pięści i zagrażał moralności każdej przyzwoitej kobiety?

- Jeśli sądzi pan, że jestem wstrząśnięta, słysząc, że Jake brał udział w bójkach, jest pan w błędzie. Wystarczy na niego spojrzeć, by wiedzieć, że nie warto go prowokować - uśmiechnęła się dumnie Wynne. - Jest urodzonym wojownikiem. To jeden z powodów, dla których za niego wyszłam.

- Nie mówi pani tego serio!

- Jak najbardziej. A co do tamtych kobiet... Zapewniam pana, że żadnej nie musiał nakłaniać siłą.

Randolf roześmiał się chrapliwie.

- Słyszałem co innego.

- Nic już nie mów - błagała Evie. - To niczego nie zmieni.

Wynne nie zamierzała ustąpić. Randolf oczerniał jej męża, a tego nie puści płazem. Powoli wstała i cisnęła na stół lnianą serwetkę niczym rycerz rękawicę.

- Kobiety mogą twierdzić, że zostały zmuszone - oświadczyła głośno i wyraźnie. - Po prostu brak im odwagi, żeby wyznać prawdę.

- A jaka jest ta prawda?

- Że pozwoliły się uwieść czarnej owcy.

Trafiła w czuły punkt. Randolf zbladł.

- To kłamstwo!

. Jake nic nie powiedział, tylko podniósł kieliszek z winem i

z tklwym spojrzeniem zsalutował nim żonie. Takiego wsparcia było jej trzeba.

- To wcale nie kłamstwo, tylko wstydlwa prawda. Ile kobiet, które w ciągu dnia nie pozostawiały na moim mężu suchej nitki, zakradało się wieczorem do jego łóżka? Pięć, dziesięć... - Zerknęła na Jake'a. - Więcej?

- To było, zanim cię poznałem, elfie. - Nie próbował się tłumaczyć. - Mam nadzieję, że ci to nie uwłacza.

- Ani trochę. To one straciły, nie ja. Poznały tylko połową człowieka, ja zamierzam poznać go całego.

- Kiedy jest następny Bał Kopciuszka? - gorączkował się Peter. - Też chcę mieć taką żonę.

- Mówię wam, że ona kłamie - wyrwało się Randolfowi w bezsilnej furii. - Jest tak napalona na Hondo, że zrobi wszystko, by go kryć. Może i jesteś łatwym kąskiem dla niego, ale moja żona nie była taka.

- Randolf! - krzyknęła Evie.

Wynne nie traciła czasu. Widząc, że Jake jest nieprzytomny z wściekłości, rzuciła się w jego stronę i powstrzymała go siłą.

- Jake, błagam - szepnęła. - On sam nie wie, co mówi.

Zadrżał cały, usiłując się opanować.

- Wyjdź z mego domu, Chesterfield. Szybko - odezwał się urywanym głosem. - I żebyś tu nie wracał przez dłuższy czas. W przeciwnym razie zapłacisz mi za ten wybryk.

Randolf nie czekał na oklaski. Złapał Evie za rękę i wypadł z pokoju.

- Upewnij się, że wyjechał bez problemów. - Jake zwrócił się do Petera. - Porozmawiamy rano.

- Nie ma sprawy. Zresztą i tak pora do domu.

Jake odwrócił się w stronę sędziego.

- Czy usłyszał pan to, po co pan przyszedł? Jeżeli tak, to niech się pan stąd zabiera, bo ani ja, ani żona nie odpowiemy już na żadne pytanie!

- Spokojnie. - Sędzia uniósł ręce w górę. - Ty i Wynne zadośćuczyniliście wszystkim warunkom testamentu. Posiadłość należy do ciebie. Na szczęście Randolph się mylił.

- W czym?

Sędzia skinął w stronę Wynne.

- Masz dobrą żonę, Jake. Lepszej nie znajdziesz. To oczywiście nie moja sprawa, ale mam szczerą nadzieję, że to małżeństwo jest czymś więcej niż tylko fikcją.

Jake zacisnął szczęki.

- Rzeczywiście, to nie pańska sprawa. Mój dziadek nie miał prawa stawiać tak nierealnych warunków. Musi pan przyznać, że mogę szukać każdej luki prawnej.

- Zrobił to dla twojego dobra, chłopcze.

- Guzik prawda! Zawsze miał fioła na punkcie zachowania rodu, dynastii.

- Znajac Westona, ten motyw na pewno odegrał tu poważną rolę - stwierdził Graydon. - Jednak przeważył o wiele ważniejszy powód.

- Jaki? - zadrwił Jake. - Słucham, pośmiejemy się razem.

- Chciał dać ci coś, czego nigdy nie miałeś.

- I co to niby miało być? - spytał po chwili milczenia Jake.

- Przykro mi, Jake, ale nie zamierzam ci niczego ułatwiać.

- Zerknął na Wynne. - Jeśli szybko się nie domyślisz, plan Westona weźmie w łeb, a sprawa stanie się nieważna.

- Chciał mi dać żonę? - pytał Jake. - Legalne potomstwo? Sam potrafię o siebie zadbać.

- Och, Jake - szepnęła Wynne. - Po prostu tego nie słuchaj.

- Nie? - roześmiał się cynicznie. - Mój dziadek przez całe życie zmuszał wszystkich do posłuszeństwa.

- Nie wszystkich. I tego się twój dziadek w końcu nauczył - odparła spokojnie. Nagle zdała sobie sprawę, że dalsza kłótnia z mężem jest bezcelowa. Sądząc po zaciśniętych szczękach, nie

będzie słuchał żadnych argumentów. Podała rękę sędziemu. - Dziękuję za wizytę. Przykro mi, że wieczór zakończył się takim wybuchem.

- Tego można się było spodziewać. Miło mi było cię poznać. Mam nadzieję, że jeszcze nieraz się spotkamy.

- Czas pokaże - odparła dyplomatycznie.

Po wyjściu sędziego Jake zatrzaskał drzwi.

- Nieźle przyjęcie zgotowałaś im, pani Hondo.

- To było... interesujące - przyznała. - Podejrzewam, że przez dłuższy czas stanie się tematem dyskusji.

- Tutaj takie dyskusje nazywa się plotkowaniem. Obawiam się, że masz rację, jeśli już do tej pory nie staliśmy się tematem plotek, to teraz na pewno. - Przeczesał dłonią włosy. - Napijesz się? Nie wiem, jak ty, ale ja mam ochotę.

- Nęcąca propozycja.

Przeszli do biblioteki urządzonej w typowo męskim stylu. Na jednym końcu znajdował się sekretarzyk i masywny, kapitański fotel, trzy ściany zajmowały solidne regały. Na przeciwległej ścianie znajdował się kamienny kominek.

- Często go używasz?

- Dziadek stale utrzymywał na nim ogień, od świąt Bożego Narodzenia. - Podał jej kieliszek brandy i zajrzał za osłonę, kominika. - Chciałabyś dziś napalić? - spytał, kładąc do środka drwa. - Nie jest zimno, ale też by mi się podobało.

- Wspaniale. - Zgasiła górne światło, pozwalając nieśmiałym płomyczkom rozjaśniać pokój. - Lepiej?

- O wiele. - Usiadł na dywanie na wprost paleniska i łyknął brandy. - Jezu, cieszę się, że ten cholerny wieczór już się skończył.

- Ja również. - Przycupnęła obok. - Dobrze, że nie było chłopców. Wolę nie myśleć, co by zrobili Randolfowi.

- Nic gorszego niż ja, gdyby powiedział jeszcze słowo.

Lepiej zmienić temat, pomyślała.

- Zapowiada się dziwna noc... nie ma chłopców...
 - Zwykle utulasz ich na dobranoc.
 - Lubię patrzeć, jak śpią - przyznała.
 - Przypominają ci siostrę? Jak miała na imię? Tracy?
 - Tak. - Wynne pochyliła głowę. - Kiedy jestem z chłopcami, czuję, jakby Tracy była blisko mnie.
 - Musiała dużo myśleć o tobie, skoro powierzyła ci opiekę nad dziećmi.
 - Oboje wiedzieli, że kocham Bustera i Chicka i zrobię dla nich wszystko.
 - Nawet wyszłaś za mnie.
- Roześmiała się.
- To była najłatwiejsza decyzja w moim życiu. W chwili gdy cię spotkałam, wiedziałam, że jesteś doskonałą.
 - Bo potrafię poskramiać smoki - rzekł smutnym tonem.
 - Nie tylko dlatego. - Ponieważ od razu zobaczyłam w tobie to, czego sam nie dostrzegasz. Bo kiedy spojrzałam w twoje połyskujące złotem oczy, zakochałam się w tobie bez pamięci. Nie mogła jednak tego powiedzieć głośno. - Wyszłam za ciebie, bo potrzebujemy się nawzajem.
 - Jeszcze trochę.
 - Jake...
- Westchnął ciężko.
- Niech no zgadnę. Którą rewelację chcesz omówić? Tę dotyczącą dziadka? Moich rodziców? A może mego niepohamowanego apetytu na miejscowe kobiety?
 - Kwestię twego apetytu seksualnego już omówiliśmy.
 - Dziękuję za ognistą obronę.
 - Nie ma się czemu dziwić. W przeciwieństwie do Randolfa, wiem, jaki naprawdę jesteś. To śmieszne oskarżać cię o gwałt, skoro potrafisz uwieść kobietę jednym spojrzeniem.
- Roześmiał się chrapliwie.

- Czasem może to wymagać czegoś więcej!
- Może. - Obdarzyła go przeciągłym spojrzeniem. - Ale wystarczy jedna lekcja prowadzenia furgonetki.

Jake pokręcił głową.

- Nic z tego, słodziutka. Jesteś jedyną kobietą, którą uczyłem zmiany biegów. Mówiąc szczerze, jedyną, którą chciałem uczyć.

- Miło mi - uśmiechnęła się nieśmiało. Usiadła bliżej i położyła mu dłoń na udzie. Płomienie palącego się ognia w kominku oświetlały jej jasne włosy i twarz.

- Opowiedz mi resztę, Jake. Zrzuć kamień z serca i nie wracajmy do tego więcej.

- Chcesz usłyszeć krwawe detale z mego życiorysu?

- Nie za bardzo. Jednak sądzę, że powinienes mi opowiedzieć o nich dla własnego dobra.

- Czemu tak uważasz? - spytał chłodno.

- Daj spokój, Jake. Nie ucieknę z krzykiem, nie odwrócę się od ciebie i z pewnością nie będę nocą zakradać się do twego łóżka, by w dzień udawać, że się nie znamy... - Urwała. - To dlatego mi nie powiedziałaś? Bałeś się mojej reakcji?

- Niech cię cholera - szepnął, siadając prosto.

- Rozumiem - rzekła ze współczuciem. - Ciężko pracowałeś, by wznieść wokół siebie mur obronny. Teraz masz irytującą żonę, która dobija się do wrót zamku, a ty musisz ją wpuścić.

- Muszę?

- Tylko ten jeden raz. Potem możesz ją ignorować.

- Jesteś kobietą, która nie da się łatwo zbyć.

- Już to mówiłeś. Jestem nudna, natrętna i czepliwa.

W oczach zapłonęły mu złote błyski,

- I cholernie lojalna. Dobrze, żono. Usłyszysz smutne szczegóły. Niewiele tego jest... - Zamyślił się. - Moi rodzice poznali się pewnego lata i ulegli swoim zmysłom. Byli bardzo nieostrożni, bo przy okazji zostałem poczęty. Kiedy matka zorientowała się, że jest

w ciąży, natychmiast powiedziała o tym mojemu ojcu. Niestety, był już zaręczony z panną z dobrego domu, więc uznał, że byłoby dla niego lepiej, gdyby zniknęła. W podjęciu takiej właśnie decyzji pomógł jej dziadek.

- Zapłacił jej.

- W ten sposób odebrał jej złudzenia.

- Och, Jake - mruknęła Wynne.

- Miało nie być uzalania się - przypomniał jej. - Matka zmarła, gdy miałem szesnaście lat i wyładowałem na ulicy. Niestety, mój ojciec również wkrótce umarł. Jego żona nie mogła zapewnić mu potomstwa. Dziadek był zrozpaczony. Przypomniał sobie o dziewczynie w ciąży, którą przepędził przed laty i zaczął mnie szukać.

- Wrócił do Chesterfield z wściekłym, pełnym nienawiści szesnolatkiem - stwierdziła fakt.

- Na pewno nie byłem spełnieniem marzeń dziadka. Nienawidziłem go za hipokryzję, czego nie ukrywałem. W zamian dawał mi wszystko, co można kupić. Ale i tak tej jednej rzeczy mu odmówiłem.

- Zmiany nazwiska - domyśliła się po chwili.

Jake skinął głową.

- Dziadek przez całe lata błagał mnie, żebym zmienił nazwisko na Chesterfield.

- Tylko w ten sposób mogłeś ocalić własną tożsamość.

- Jestem Jake Hondo i nazywanie mnie Chesterfield niczego nie zmienia w kwestii mego urodzenia.

- Jednak nauczyłeś się go kochać, mimo tego, co zrobił twojej matce. .

- Owszem - przyznał, przesuując dłonią po włosach. - To był dumny, samotny człowiek, który popełnił wiele błędów w życiu. Nigdy jednak nie próbował zrzucić odpowiedzialności na innych. Za to właśnie go szanuję.

- Ale z nim nie zostałeś.

- Domyślał się, że chodzi ci o Lost Trail - westchnął.
- Tak.
- Odkąd przybyłem do Chesterfield, zacząłem pracować i oszczędzać, żeby kupić sobie własną ziemię.
- Ta nieokiełznana żądza niezależności. - Skinęła ze zrozumieniem głową.
- Coś w tym rodzaju. Miałem szczęście. Zanim skończyłem trzydzieści lat, sąsiad wystawił swoje ranczo na sprzedaż. Było żałośnie małe w porównaniu z posiadłością dziadka, ale dokupeywałem kawałek po kawałku, aż stało się całkiem przyzwoite.
- Ale Dusty mówił, że przeprowadziłeś się do dziadka.
- Wkrótce potem stwierdzono u niego raka. - Spojrzał w ogień . Z jego twarzy nic nie można było wyczytać. - Czy miałem inne wyjście?
- Ty akurat nie. Ktoś inny mógłby okazać się bardziej podły.
- Jestem wystarczająco podły. Nawet nie wiesz, jak bardzo...
- Spojrzał jej prosto w oczy. - Powinienem przywieźć cię tu prosto po ślubie. Zamiast tego zabrałem cię i chłopców do Lost Trail. Wiesz dlaczego? Bo nie chciałem ci robić płonnych nadziei. W ten sposób nie żałowałabyś momentu rozstania.
- W oczach Wynne błysnęło rozbawienie.
- Myślisz, że bardziej brakowałoby mi posiadłości niż człowieka?
- Większości kobiet tak - mruknął. - Wiem, wiem, jesteś inna niż wszystkie. Może powinienem sobie to zapisać.
- Nie przejmuj się. Nie pozwolę ci o tym zapomnieć.
- W to nie wątpię. - Uniósł brew. - Czy już skończyliśmy?
- Jeszcze tylko dwa pytania. Opowiedz mi o Randolfie.
- Jake skrzywił się.
- Randolf jest o kilka lat starszy. Zanim się zjawiłem, uważał się za sukcesora, mimo iż jest dalszym krewnym. Dlatego postanowił zatruć mi życie.
- AEvie?

- Przepraszam, elfie, ale to prywatna sprawa.
- Nic nie szkodzi. Domyślam się, co tu zaszło.
- Czemu mnie to wcale nie dziwi? - mruknął. Łyknął whisky,

by dodać sobie kurażu.

Zdziwiła się. Jake, najodważniejszy człowiek na świecie?

- Chciałeś mi jeszcze o czymś powiedzieć?

- Nie. Tylko podziękować.

- Za co?

- Za dzisiejszy wieczór. - Przysunął się tak blisko, że ich usta niemal się stykały. - Chciałem również przeprosić. Powinienem powiedzieć ci o celu dzisiejszego spotkania. Nie zrobiłem tego...

- By zaoszczędzić mi zażenowania.

Zamknął oczy. Drgnęły mu mięśnie policzka.

- Nie, do cholery. Nie dlatego. To zwykła wymówka. Nie wiedziałem, co zrobisz, kiedy usłyszysz o tym warunku.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Nie pojmuję, przecież nie boisz się niczego.

- Tak też myślałem. - Popatrzył jej prosto w oczy. - Dopóki nie spotkałem ciebie.

- Boisz się mnie? - Oślupiała. - Dlaczego?

Wolałyby nie odpowiadać, wolałyby uniknąć kolejnej rysy na swej zbroi. Jednak Wynne zasługiwała przynajmniej na szczerość.

- Jesteś pierwszą osobą, która uwierzyła we mnie. Zaufałaś mi bezgranicznie. Potrafisz patrzeć na ludzi. Sam nie wiem, co we mnie zobaczyłaś. Nie rozumiesz? Obraz człowieka, który sobie stworzyłaś jest nieprawdziwy. A ten, który istnieje naprawdę, mógłby cię skrzywdzić.

- Zatem jedno z nas się myli. Gdybyś zastanawiał się, które, informuję cię, że to nie ja.

Jake milczał nieskończenie długo.

- I co mam z tobą zrobić? - spytał wreszcie szorstko.

Odpowiedź zadrżała jej na wargach, choć była bardzo prosta.

- Kochaj się ze mną.

Jake roześmiał się.

- To nic trudnego. Nie mogę utrzymać rąk na wodzy.

- Wcale cię o to nie prosiłam.

- Chodź. - Przesunął dłoń na jej kark.

Ich usta złączyły się. Płomień z kominka oświetlał ich twarze. Wynne w ciągu paru tygodni wypracowała sobie własny styl. Uklękała i zaczęła się rozbierać. Nie wstydziła się ani nie próbowała go uwodzić. Po prostu ofiarowała mu siebie ciałem i duszą, bez jakichkolwiek wahań czy zahamowań.

To nie przestało go zdumiewać.

Wreszcie zrzuciła ostatni fatałaszek i klęczała przed nim naga. Wydawała się stworzona do oglądania w świetle kominka. Alabastrowe wzniesienia piersi łagodnie przechodziły w linie, talii, a potem w deltę bioder.

Sięgnął po nią i zamarł. Ciemny brąz jego dłoni ostro kontrastował z bielą jej ciała.

- Nie - szepnęła. - Nie myśl, nie analizuj, po prostu kochaj mnie. Choć na tę noc pozamykaj swoje demony.

- To na nic - odparł. - Rano znów mnie dopadną.

- Więc będziesz się tym martwił rano.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jake obudził się w parę godzin później i z trudem uświadomił sobie, gdzie się znajduje. Był obolały od spania na podłodze, jednak nie chciał niepokoić Wynne. Leżała w pozycji embrionalnej na boku, wtulona w niego. Ogień dawno wygasł i nocne niebo rozświetlał tylko młody księżyc. Niezręcznie poprawił zdrtwiałe nogi.

Wynne westchnęła, odwracając się twarzą w jego stronę.

- Która godzina? - mruknęła.
- Pora do łóżka, żono. Wolisz spać w swoim pokoju, czy ze mną?
- Nie wiem, czemu mnie o to pytasz - odparła, ziewając.
- Pytam, bo jesteśmy w nowym miejscu, a po przyjęciu...
- Moje miejsce jest u twego boku - oświadczyła i przytuliła się mocniej.

Coś nieuchwytnego w jej tonie skojarzyło mu się z tym, jak się ostatnio kochali. Przypomniał sobie jej oczy. Mówiły o cudach, stałym związku i długim, szczęśliwym życiu. Nie wątpił, że to spojrzenie powróci. Kryło się w jej każdym ruchu, dotknięciu, w namiętych pocałunkach i przytłumionym głosie.

- Teraz może i tak - uprzedził niedelikatnie. - Śpiąc ze mną, nie zatrzymasz mnie dłużej. Na co liczysz? Na parę dni, tygodni, miesięcy...

- Nieistotne, ile to będzie dni. Pozostaje nam taka sama liczba nocy i chcę, żeby każda z nich była wspaniała. Te piękne wspomnienia będziesz mógł przywołać, kiedy znajdziesz się sam.

Spokojna wielkoduszność Wynne działała o wiele bardziej przy-

gnębiająco niż łyzy protesty czy uzalanie się. Wstał, wziął ją na ręce i wyszedł z biblioteki.

- Poszukajmy jakiegoś łóżka. Może będziemy ze sobą krótko, ale mamy szansę na pomnożenie wspomnień.

Chłopcy wrócili wieczorem następnego dnia. Zmęczeni, ale podnieceni. Nie mogli się doczekać, kiedy opowiedzą Wynne i Jake'owi o swoich przygodach.

- A wtedy ten wielki, stary byk popędził wprost na Dusty'ego - gorączkował się Buster. Stetson zsunął mu się na tył głowy i chłopiec wyglądał jak miniatura Jake'a. - Myślałem, że już po nim.

Chick pociągnął brata za rękaw i zaczął coś pospiesznie szeptać.

- Nie teraz -- zdenerwował się Buster. - Jeszcze nie skończyłem. No więc Dusty chwycił lasso i bez trudu złapał tego byka. Drugi koniec sznura owinał sobie wokół czegoś tam przy siodle...

- Łęku - odpowiedział Jake.

- Tak, wokół łęku. W ten sposób byka ciągnie koń, a nie kowboj. Trzeba tylko uważać, żeby nie stracić palców. Nauczysz mnie tego, co tato? - Umilkł nagle i przerażony tym, co powiedział, wybiegł z pokoju.

Jake zmełł przekleństwo.

- Porozmawiam z nim.

- Lepiej ja to zrobię - zerwała się Wynne.

Jake skinął głową, a Wynne wzięła ze sobą Chicka i poszła. Usłyszała, jak Buster gwałtownie szlocha w swoim pokoju. Weszła do środka i delikatnie pogłaskała go po głowie.

- Dobrze się czujesz?

- Samo mi się wyrwało - powiedział przez łyzy Buster. - Wiem, że on nie jest moim tatą, mówiłaś nam, że zostaniemy tu tylko chwilowo, bo on jest tym...

-tymczasowym - dokończyła Wynne.

- Właśnie, tymczasowym mężem. Pamiętam, że powiedziałaś, że małżeństwo z Jakiem jest jak zimowe wakacje w ciepłych krajach. - Znow się rozpłakał. - Tylko że ja nie chcę stąd wyjeżdżać.

- Wiem. - W tym słowie kryło się wszystko.

- Nie możemy zostać? - Popatrzył na nią. - Mnie się tu podoba. Chickowi również.

Chick przytaknął głową.

- Przykro mi, ale to byłoby nie fair w stosunku do Jake'a. - Za wszelką cenę próbowała nad sobą zapanować. - Przecież obiecałam mu, że zostaniemy tu tylko przez jakiś czas. Nie mogę złamać słowa.

- Spytaj go, może zmienił zdanie. - Buster przytulił się do ciotki. - Pozwól nam zostać. Będziemy grzeczni, obiecuję.

Słyszając rozpacz w głosie siostrzeńca, Wynne zamknęła oczy. Za nic nie chciała odpowiedzieć odmownie, zwłaszcza że pragnęła tego samego, co on.

- Przepraszam - szepnęła. - Zrozum, naprawdę nie mogę. Kiedy nadejdzie pora, wyjedziemy.

Jake z jękiem oparł się o ścianę. Zaciśnął zęby. Tego wcale nie planował ani nie chciał. Nie zamierzał nikomu przysparzać bólu. Do diabła! Czemu zawsze niszczy wszystko, czego się dotknie. Raz w życiu chciał być takim, jakim widziała go Wynne. Co za bzdury! Takim ludziom jak on, nic się nigdy nie udaje!

Sprawdzał własnie kolejny rachunek, gdy jego uwagę rozproszył jakiś odległy dźwięk. Na chwilę podniósł głowę, po czym znow zagłębił się w pracy. Od incydentu z Busterem minęło parę godzin, które spędził w bibliotece, skoncentrowany na księgowości. Były to błogosławione chwile, kiedy nie myśląc o niczym, mógł działać jak automat.

Dźwięk rozległ się ponownie. Jake cisnął ołówek na blat. Co znowu? Podeszedł do drzwi i wyrztał na korytarz. To, co usłyszał, przeraziło go. Odepchnął się od framugi i pobiegł do kuchni. Na środku podłogi siedziała Wynne i kryjąc twarz w dłoniach, szlochała bezgłośnie. Jake powoli przykucnął obok niej. Oprócz samotnej łązy w noc poślubną, nie widział nigdy, żeby Wynne płakała, a tu łąka, jakby jej serce pękło.

- Co się stało? - spytał, bojąc się jej dotknąć.

Bez słowa wyciągnęła jedną rękę i pomachała mu przed nosem. Przyjrzał się uważnie. Ani śladu skaleczenia czy oparzenia.

- Powiedz, kochanie, co się stało? - powtórzył, denerwując się coraz bardziej.

Potrząsnęła ręką.

- Zgubiłam ją! Wpadła do zlewu!

Wreszcie do niego dotarło.

- Obrączka. Obrączka ślubna wpadła ci do zlewu. - Kolejna fala łez starczyła za potwierdzenie. - Już dobrze, nie płacz. Kupię ci inną.

Błąd.

- Nie chcę innej - rozryczała się na dobre. - Tę dałeś mi na ślubie!

Zanim zdołał odpowiedzieć, w progu stanęli Buster, Chick i Dusty.

- Co się stało? - spytał Dusty. - Chłopcy mówili mi, że Wynne płacze.

- Obrączka ślubna wpadła jej do zlewu - rzucił wściekle Jake.
- Idź po klucz.

- Lepiej od razu weź się za łopatę - parsknął Dusty. - Trzeba będzie chyba odkopać cały system odprowadzający wodę.

Wynne zadrżała w objęciach Jake'a.

- Nie pytam cię o zdanie - wściekł się Jake. - Przynieś lepiej tę cholerną łopatę.

- Idę już, idę - skrzywił się Dusty. - Wy tam lepiej dziś uważajcie. Nieszczęścia chodzą parami.

Wykrakał co do joty. W godzinę później Jake, walcząc z hydrauliką, złamał rękę.

Następnego dnia zjawiła się pani Marsh.

- Idźcie do stodoły i sprowadźcie tutaj Jake'a - poleciła chłopcom Wynne, widząc, jak bratowa wysiada z wynajętego samochodu. - Potem macie się bawić na górze, dopóki was nie zawołam. Jake i ja chcemy pomówić z cicią na osobności.

- Po co przyjechała, czy chce nas zabrać? - dopytywał się zmartwiony Buster.

- Myślę, że chce poznać Jake'a i zobaczyć, jak wam się wiedzie.

- A jak będzie chciała nas zabrać?

- Wszystko będzie dobrze. Teraz biegnijcie już po Jake'a.

Wydawało się, że zwleka w nieskończoność, zanim wreszcie wyłonił się ze stodoły. Obmył się w kuchni, podczas gdy Wynne parzyła herbatę.

- To ta kobieta jest twoim smokiem? - spytał rozbawiony.

- Przekonasz się, tylko nie daj się zwieść uśmieszkom i dołkom w policzkach. Jest twarda jak stara podeszwa.

- Czemu mówisz o niej pani Marsh? Nie ma imienia?

- Ma na imię Kitty, ale nawet chłopcom nie było wolno tak się do niej zwracać. Ja miałam do wyboru: pani Marsh lub łaskawa pani. Co mogłam wybrać?

Pani Marsh okazała się filigranową kobietą po czterdziestce. Spróbowała herbaty i utkwivszy w Jake'u niewinne, niebieskie oczy, uśmiechnęła się, pokazując dołeczki w policzkach.

- Nie cierpię tracić czasu na wstępy - oświadczyła - więc od razu przystąpmy do interesu.

- Nie wiedziałem, że mamy wspólne interesy - zdziwił się Jake.

- My nie. - Pokazała na Wynne. - Aż do tej pory.

- Słucham więc.
- Ma pan piękne ranczo. - Skrzywiła nos, jakby coś jej brzydko zapachniało. - Domyślam się, że lubi pan wieś.
- Pani zapewne nie.
- Nie - przyznała. - Jednak z pewnych źródeł wiem, że aby je utrzymać, musiał się pan ożenić. - Odstawiła filiżankę. - Chyba jakiś warunek w testamencie dziadka, prawda?
- Smoczyca miała dobre informacje. Kto jej powiedział?
- Owszem, taki był warunek. I co z tego?
- Skoro wszedł już pan legalnie w posiadanie spadku, po co panu żona?
- To pani zdanie.
- To opinia całego miasteczka. Wynne i chłopcy stanowią, zbędne obciążenie.
- Słyszałaś, elfie? - Lekceważąc dobre maniery, Jake oparł nogi na stoliku do kawy. - Wieść gminna niesie, że zamierzam wyrzucić cię na śmietnik.
- Wynne mruknęła coś niecenzuralnego pod nosem.
- Panie Hondo, bądźmy poważni. - Kitty Marsh rozsiadła się wygodniej. - Skoro już pański spadek jest bezpieczny, nie musi pan udawać szczęśliwego małżonka. Wcześniej czy później pozbędzie się ich pan. Chodzi mi jedynie o to, by opłacało się panu zrobić to jak najszybciej.
- Ile? - spytał obcesowo. Wynne aż jęknęła, ale Jake miał wzrok utkwiony w Kitty. Dawno temu nauczył się, że nie można spuszczać z oka jadowitego węża.
- A ile pan sobie życzy? - uśmiechnęła się triumfalnie pani Marsh.
- Nie wiem. - Potarł szczękę. - Mówiąc szczerze, mam już więcej pieniędzy, niż zdołam wydać.
- To mogę zaferować coś innego. - Jej uśmiech stał się prowokujący. - Jestem otwarta na wszelkie propozycje.

- Nie próbuj go uwodzić - warknęła Wynne. - Nie interesują go mężatki.

- Co najwyżej jedna - uśmiechnął się głupkowato Jake.

- Zatem wracamy do kwestii materialnych.

- Czemu pani chce te dzieci?

- A czemu ludzie chcą mieć diamenty, futra czy nowe samochody? - Wzruszyła ramionami. - Macierzyństwo jest czymś podświadomym.

Akurat u ciebie. Nie widział jeszcze kobiety mniej nadającej się na matkę.

- Nic z tego - uciał znudzony jej grą.

- Ujmijmy to inaczej. - Uśmiech Kitty zmienił się w nieoczekiwane łzy. - To wszystko, co pozostało mi po moim kochanym bracie. A skoro nie mogę mieć własnych...

- Przestani - krzyknęła Wynne. - Nigdy nie chciałaś mieć dzieci. Twierdziłaś, że ciąża deformuje sylwetkę.

Łzy zniknęły równie szybko, jak się pojawiły.

- Nie rozumiesz? Wszystko układa się idealnie. Żadnej ciąży, brudnych pieluch i płaczu po nocy. Więc ile? - zwróciła się do Jake'a.

- Nie handluję dziećmi.

- Chyba pan nie zrozumiał - odezwała się ostrym tonem. - Zrobię wszystko, by je dostać.

- Brad chce mieć dzieci, prawda? - domyśliła się wreszcie Wynne. Złość wykrzywiła ładną buzię Kitty.

- Tak, po wielu latach mój mąż się zdecydował i chyba rozgląda się za jakąś młódką, która obdarzy go potomstwem.

- Jestem wstrząśnięty pani rodzinnymi problemami, ale nic z tego - roześmiał się Jake.

Z wściekłości pociemniały jej oczy.

- W takim razie posunę się do groźby.

- Doprawdy? - nie przejął się tym Jake.

- Jeśli nie oddacie mi dzieci, pozwę Wynne do sądu.
 - Na jakiej podstawie, jeśli wolno spytać?
 - Chodzi o bezpieczeństwo dzieci. Najpierw omal nie stratował ich szalony ogier, potem zetknęły się z jadowitym węzem.
 - Skąd wiesz o tym wszystkim? - przeraziła się Wynne.
 - Randolph! - odgadł Jake. - Ten sk...
 - Do tego należy dodać wulgarnie wyrażanie się. Lista zarzutów będzie imponująca. Pozostawiam wam wybór. - Spojrzała na Wynne.
 - Albo oddasz dzieci dobrowolnie i pozwolę ci je widywać, albo zmusisz mnie do procesu. Wtedy pożegnaj się z nimi na zawsze.
 - To żaden wybór - parsknął Jake. - Tylko groźba.
 - Właściwie to obietnica, której zamierzam dotrzymać. - Wzięła torebkę. - To kończy sprawę. Możecie to przemyśleć, ale nie ma o czym gadać.
 - Nie chce pani zobaczyć bratanków? - zadrwił Jake.
 - Po co? Jeszcze się ich naogładałam. Niech się pan nie fatyguje, trafię do wyjścia.
 - Nie odmówię sobie tej przyjemności. - Jake zerwał się na nogi.
 - Czy to groźba przemocy fizycznej?
 - Skądże, jedynie obietnica.
- Kitty dostrzegła złamaną rękę Jake'a.
- Skutek bójki? Moja lista wydłużyła się z każdą chwilą. Tym samym rośnie niepokój o bratanków.

Wyszła. Trzask drzwi frontowych powiedział im, że opuściła dom.

Chłopcy weszli cichutko na schody i schowali się w pokoju.

- Mam świetny pomysł, Chick - uśmiechnął się szelmowsko Buster. - Jak nas nie znajdzie, to nie będzie mogła nas zabrać. Więc ukryjemy się, aż wybierze sobie inne dzieciaki.

Chick wyszeptał swoje wątpliwości.

- Tak, na pewno będą się martwić - zastanowił się Buster. - Już

wiem, zostawimy im wiadomość, ale nie napiszemy, gdzie się scho- waliśmy.

- I co my teraz zrobimy? - Wynne usiłowała ukryć przerażenie.

- Poczekamy. Nawet jeśli skieruje sprawę do sądu, wątpię, żeby wygrała. Na przekór lokalnym plotkom, wciąż jesteśmy razem.

Ale jak długo jeszcze, zastanawiała się Wynne, nie śmiała jednak zapytać.

- A co z pozostałymi zarzutami?

Jake skrzywił się.

- Przyznaję, że chłopcy mogli mieć kilka nieszkodliwych za- drapań. Jednak, jak sama pani Marsh zauważyła, to jest Teksas. Każdy chłopiec miał tu przygodę z koniem i natknął się chociaż raz na grzechotnika. Mam nadzieję, że sędzia nie da się nabrać na jej zagrzywki. Chroń mnie Boże od płaczliwych kobiet.

Wynne zerknęła na dłoń bez obrączki i przygryzła wargę.

Jake podchwycił jej spojrzenie.

- Przepraszam, nie ciebie miałem na myśli. Ty miałaś prawdzi- wy powód. Żałuję, że jej nie znalazłem.

- To nie twoja wina - szepnęła. - Powinnam dać ją do zmniej- szenia.

- Pojedziemy do miasta i kupię ci inną. To pomogłoby nawet przekonać panią Marsh... Nie uważasz?

- To nie będzie to samo. - Powstrzymała cisnące się do oczu łzy. - Tamta obrączka była częścią Balu Kopciuszka. Nie umiem tego wyjaśnić.

Jake zamknął oczy. Niczego nie musiała wyjas'niać, rozumiał to doskonale. Wynne nie zgodzi się na inną obrączkę, a on nie jest w stanie odzyskać oryginalnej.

Starał się nie myśleć o tym przez resztę popołudnia. Pracował razem ze swymi ludźmi, narzucając sobie ostre tempo.

- Robimy fajrant - spytał pod koniec dnia Dusty - czy wymierzylesz sobie za małą karę?

- Coś ci się nie podoba? - Uniósł brew Jake.

- Nie w tym rzecz. - Dusty pokazał na północ. - Każdy, kto nie pilnuje pogody, szykuje sobie kłopoty.

Jake zerknął na niebo, odłożył narzędzia i poszedł szukać Wynne. Znalazł ją w bibliotece.

- Chodź, pokażę ci błękitny wiatr północny.

- Nawet nie miałam pojęcia, że jest coś takiego.

- To front atmosferyczny. - Zaprowadził ją na ganek i pokazał zbierające się nad horyzontem stalowoniebieskie chmury.

- Coś poważnego?

- Owszem, jeśli go zlekceważysz. Nadciąga szybko i wieje wściekle. W ciągu paru minut potrafi obniżyć temperaturę poniżej zera. Jeśli dodasz do tego marznącą mżawkę...

- Lepiej powiem chłopcom, żeby ubrali się ciepiej.

- Dobrze, zawołaj ich i najpierw coś zjemy.

- Przecież są z tobą - zdumiała się Wynne.

- Nic podobnego.

- Mieli pomóc ci w stodole. Tak powiedział Buster przed wyjściem.

- Kiedy to było?

- Parę godzin temu. Tuż po odjeździe pani Marsh...

Jake zaklął i popędził do domu. Przesadzając po dwa stopnie naraz, wpadł do sypialni chłopców. Zanim znalazł lis'cik, wiedział już, że uciekli. Otwarta szafa, ubranka rozsypane po podłodze, a przede wszystkim brak fotografii rodziców.

Wynne weszła do sypialni. Znalazła lis'cik na poduszce Bustera i czytając, zasłoniła ręką drżące usta.

- Znajdziemy ich - pocieszał ją Jake. - Zbiorę ludzi. Nie mogli daleko uciec.

- Mówiłeś, że front chłodny nadciąga szybko. Ile czasu nam zostało?

- Parę godzin - skłamał bez wahania.

Przeszukanie domu zajęło im pół godziny. Bezskutecznie. Jake odciągnął na bok Dusty'ego.

- Bierz ludzi i ruszajcie. Ten front nadciąga szybciej, niż się spodziewałem.

- Może pojedziemy do Lost Trail i zobaczymy, czy tam się nie schowali?

- Dobry pomysł.

- Jake...

- Wiem.

Podszedł do telefonu. Po raz pierwszy w życiu musiał prosić o pomoc. Modlił się w duchu, żeby mieszkańcy Chesterfield nie odwrócili się od niego i zechcieli mu pomóc.

- Sklep Belle. Czym możemy służyć?

- Jake Hondo. Belle, potrzebuję pomocy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zapadał zmierzch, gdy kuchennymi drzwiami wszedł Jake. W milczeniu pokręcił głową.

- Co teraz zrobimy - zatrwożyła się Wynne.

- Będziemy szukać dalej - odparł zmęczonym głosem.

- Nic nie rozumiem. Chłopcy są lekkomyślni, ale nie głupi. Na pewno schowali się gdzieś przed zimmem. Może w Lost Trail?

- Dusty już tam sprawdzał.

- Ale to kawał drogi. Mógł dojechać tam przed nimi. - Rozpacz dyktowała jej słowa.

- Dobrze-rzekł wreszcie. -Sprawdzą.

- Pojadę z tobą.

Ku jej zdumieniu nie oponował. Widocznie domyślał się, jak bardzo chciała się stąd wyrwać, działać, zamiast beczynnie czekać.

- Weź płaszcze i kilka koców. Jeśli ich znajdziemy, mogą być przemarznięci.

Jake nie mógł zmieniać biegów złamaną ręką, więc Wynne usiadła za kierownicą. Nie tracąc czasu, wrzuciła jedynekę i pojechała. Po piętnastu minutach dojeżdżali zakurzoną drogą do Lost Trail. Jake wychylał się przez okno.

- Gazu, Wynne! Widzę światło.

Zatrzymała się przed tylnym wejs'ciem i wpadła do kuchni. Mały ogieniek płonął w piecu na drewno, przed nim siedzieli skuleni chłopcy.

- Buster, Chick! - zawołała, podchodząc bliżej.
- Cześć, ciociu. Wynne - powiedział zmęczonym głosem Buster. - Cieszę się, że cię widzę.

- Ja również. - Przytuliła ich do siebie. Byli bardzo zziębnięci.
- Chcieliśmy zadzwonić, ale telefon nie działał.

Jake rzucił im płaszcze i koce.

- Wujku tato, wiedziałem, że mnie znajdziesz - wyskrzecztał Chick, odzywając się po raz pierwszy od wielu miesięcy głośno.

Na dnie rozpaczy zrodził się cud. Wynne opuściła głowę i rozplakała się. Jake wziął na rękę Chicka.

- Uruchom silnik i włącz ogrzewanie - polecił Wynne ochrypłym głosem. - Musimy jak najszybciej zawieźć ich do szpitala.

- Nic im nie będzie? - spytała przerażona.

- Mam nadzieję, że nie. - Szybko wyniósł Chicka z domu. Potem wrócił po Bustera i ulokował chłopców w pobliżu nawiewu ciepłego powietrza. - Jedziemy.

Wrzuciła jedynekę, ale silnik znów szarpnął i zgaś.

- Spokojnie, kochanie - powiedział Jake. - Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale uda się.

- Nie dam rady - rozplakała się. - Chick wreszcie przemówił, a ja nie wiem, czy zdołam ich zatrzymać.

- Są bezpieczni - uspokajał ją Jake. - Musimy tylko zawieźć ich do lekarza, żeby zbadał, czy się nie przeziębili.

- Jesteśmy już bezpieczni, ciocju Wynne - powtórzył rozespianym głosem Buster. - Nie musisz się martwić.

- Nie musisz - poparł go Chick.

- A teraz powoli i delikatnie, jak cię uczyłem - przypomniał jej Jake. - Pierwszy pocałunek.

Furgonetka ruszyła gładko.

- Dzielną dziewczyną. Teraz dotyk i śmiała pieszczota.

Jake mówił przez całą drogę, pomagając jej zmieniać biegi i podtrzymując na duchu chłopców. Jego głos chronił ją przed utratą

zmysłów. Gdy stanęli przed szpitalem, z trudem oderwała zbiełałe dłonie od kierownicy.

W pół godziny później w poczekalni zjawił się lekarz.

- Dobre wieści. Wasi chłopcy są zdrowi. Szczęściem starszy był na tyle cwany, że rozpałił w piecu. W przeciwnym razie...

- Możemy ich zobaczyć? - spytała Wynne.

- Oczywiście, ale muszą zostać do jutra na obserwacji.

Z samego rana pojawiła się pani Marsh.

- Słyszałam, co stało się z moimi bratankami...

- I przybiegła pani sprawdzić, jak się czują - dokończył Jake.

- Pomyłka. Przychodzę z ultimatum. Dzięki ostatniemu incydentowi, nie będzie kłopotów z przyznaniem mi praw opiekuńczych. Zbyt często narażacie dzieci na niebezpieczeństwo. W związku z tym...

- Do rzeczy - przerwał jej Jake.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Bardzo dobrze. Mielicie szybki ślub w Nevadzie, więc weźmiecie szybki rozwód w Meksyku. Wtedy zapewnią Wynne na piśmie prawo do odwiedzania chłopców. W przeciwnym razie figa z makiem... - Urwała. - Żądam natychmiastowej odpowiedzi.

Jake miał już odpowiedź na końcu języka, ale rzut oka na przestraszoną Wynne odwiódł go od tego zamiaru. Poza tym, nie chciał wszczynać otwartej wojny z Kitty Marsh, przynajmniej na razie.

- Słucham? - nacierała pani Marsh.

- Moja wolność w zamian za dzieci?

- Tak.

- Zgadzam się pod jednym warunkiem...

- Jake, nie!

- .. .potrzebuję czasu.

- Doskonale - skinęła głową pani Marsh. - Daję trzy dni.
- To może potrwać dłużej.
- Oby nie. Ma pan pieniądze, proszę ich użyć. Wszystko można załatwić za odpowiednią sumę.

- Zatem trzy dni i ani sekundy dłużej. Ale pod warunkiem, że wstrzyma się pani z działaniem do mojego powrotu.

- Podczas naszego następnego spotkania proszę mieć papiery rozwodowe. Lepiej mnie nie drażnić. - Rzuciła Wynne triumfalne spojrzenie i wyszła z pokoju.

- Jake...

- Nie mamy wyboru, zrozum. Musimy w końcu uregulować sprawę naszego małżeństwa.

- Ale...

- Nie chcę tego słuchać. Teraz najważniejsi są chłopcy. Nie chcesz ich całkiem stracić, prawda? Twoja Smoczyca nie żartuje.

- Ale obiecałeś- szepnęła. - Mieliśmy umowę.

- Obiecałem, że zajmę się Smoczycą i zrobię to, tylko że po swojemu.

Wynne chciała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się. Zamiast tego podeszła do Jake'a i przyjrzała się mu uważnie. Na usta cisnęło się jej mnóstwo pytań, lecz w jej wzroku mógł wyczytać pełne zaufanie.

- Zgadzam się, żebyś tym się zajął - rzekła wreszcie.

- Tak po prostu? Żadnych pytań, sprzeciwów?

- Czy to by coś pomogło?

- Nie.

Wynne złożyła dłonie, podświadomie szukając obrączki na palcu.

- Jeśli wybierasz się gdzieś na trzy dni, powinieneś zacząć się pakować. Pomóc ci?

- Dziękuję, ale najpierw chcę porozmawiać z chłopcami.

Nie zajęło to dużo czasu. Wyjaśniwszy Chickowi i Busterowi, że wybiera się w podróż w interesach, Jake przeszedł do dzielonej

z żoną sypialni i wyjął z szafy dużą walizkę. Włożył do niej niezbędne rzeczy.

- Pora jechać - powiedział, gdy skończył.

- Szczęśliwej drogi - odezwała się drżącymi ustami. - Zobaczmy się za kilka dni, prawda?

- Tak. - Podniósł walizkę i ruszył w stronę drzwi. Nie mógł jednak wyjść bez pożegnania. - Chodź tu. - Odstawił walizkę.

Wpadła w jego ramiona z takim impetem, że omal go nie przewróciła. Pocałował ją z niekłamany ucuciem. Wreszcie oderwali się od siebie.

- Ufasz mi, elfie?

- Zawsze ci ufałam i ufam nadal.

Sędzia Graydon zastukał młotkiem, uciszając salę.

- Nie możemy już dłużej czekać - rzekł, zwracając się do Wynne. - Masz jakieś wieści od Jake'a?

- Niestety, nie.

Od pięciu dni nie miała od niego żadnego sygnału. Choć wzniosła wokół siebie mur ochronny z zaufania i nadziei, czasem trudno było jej uwierzyć w Jake'a, szczególnie w nocy.

- Zatem zaczniemy bez niego - oświadczył sędzia. - Pragnę jednak przypomnieć, że nie jest to sprawa oficjalna. - Zerknął na Petera, potem na fircykowatego prawnika, który towarzyszył pani Marsh. - Zebralis'my się tu, by w przyjacielskiej dyskusji ustalić, czy jest możliwy w tej sprawie jakis' kompromis.

Fircykowaty prawnik zerwał się na równe nogi.

- Larry Livingston, Wysoki Sądzie. Moim zdaniem nie ma mowy o żadnych kompromisach.

Graydon zamierzył się na niego młotkiem.

- Proszę siadać. Jak będę ciekaw pańskiego zdania, dam znać. Przejrzałem skargę pani Marsh - ściągnął brwi - i nie za-

mierzam podważać żadnego z postawionych przez nią zarzutów. Jake sam opowiedział mi o historii z koniem i grzechotnikiem.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - wtrącił się Livingston. - Pańska znajomość z jedną ze stron.

- Milczeć! - zagrział sędzia Graydon. - Dam panu jedną radę, panie Livingston. Tak się składa, że jestem jedynym sędzią w tym mieście i jeśli nie chce pan zaszkodzić swojej klientce, proszę mnie nie drażnić.

- Może te incydenty nie były takie niebezpieczne - odezwała się z udaną troską pani Marsh - ale w połączeniu z kłopotami małżeńskimi Wynne.

- Pierwsze słyszę - zdziwił się sędzia.

Kitty spuściła imponująco długie rzęsy.

- Wszyscy wiedzą, że ich małżeństwo to po prostu fikcja stworzona po to, by pan Hondo mógł zdobyć ranczo Chesterfield. Również nie jest żadną tajemnicą, że się rozwioda, a wówczas Wynne pozostanie bez środków do życia.

- Nie polegałbym zbyt na plotkach, pani Marsh - nasrożył się sędzia. - O ile wiem, nie było mowy o rozwodzie.

- I owszem - uśmiechnęła się przebiegle. - Nie ma go tu teraz, bo właśnie bierze rozwód.

Sala zawrzała.

- Spokój! Cisza! - krzyknął sędzia i uderzeniem młotka uciszył salę. - Czy oświadcza pani w obliczu sądu, że wie pani, gdzie jest Jake Hondo?

- Pewnie w Meksyku - odparła, wpatrując się w wypielegnowane paznokcie. - A może na Haiti... Wszędzie tam, gdzie dają szybkie rozwody. Chociaż, zważywszy pięciodniową nieobecność, trudno nazwać je błyskawicznymi.

- Czy Jake występował o rozwód? - Graydon spytał Wynne.

- Nie.

- Teraz już nic nie rozumiem - westchnął sędzia. - Jedni mówią tak, drudzy inaczej...

- Czy mogę coś powiedzieć, Wysoki Sądzie - odezwał się z końca sali Randolph.

- Twoja pomoc jest tu najmniej potrzebna, Chesterfield.

- Zamierzam wystąpić w obronie Jake'a. - Rozległ się szmer zdziwienia. - Wiem, to coś nowego. Jednak ostatnio odkryłem, że byłem wobec niego niesprawiedliwy i niesłusznie go oskarżałem. Mój kuzyn... nie tknął Ewie, wbrew temu, co sam rozповідаłem. To było nieporozumienie. Ewie chciała mi wyjaśnić całą sprawę, ale ja nie słuchałem.

- Co zmieniło twój punkt widzenia? - spytała Wynne.

- Ty i Ewie. Po ostatniej wizycie w Chesterfield wysłuchałem wreszcie żonę. Dlatego, jeśli Wynne twierdzi, że Jake nie zamierza się z nią rozwieść, to jej wierzę.

- Bardzo ładnie - uśmiechnął się sędzia - ale Jake jest nieobecny i nie może potwierdzić ani zaprzeczyć. Wynne, co mąż powiedział ci przed wyjazdem?

- Muszę odpowiadać?

- Niestety, tak.

- Cóż - zawahała się Wynne - powiedział, że nie mamy wyboru i musimy w końcu uregulować sprawę naszego małżeństwa.

- Czy z tego nie wynikało, że Jake chce się rozwieść?

- Ufam mu. Nie zrobiłby mi tego. Wie, że bez męża utracę prawo opieki nad siostrzeńcami.

Na końcu sali wstał jakiś mężczyzna.

- Przepraszam, sędzio, ale jeśli problemem jest brak męża, zgłaszam się na ochotnika. Ja tam na pewno się nie rozmyślę.

- Miło z twojej strony, Wendall, ale...

Wstało jeszcze dwóch mężczyzn.

- Wy też? - spytał sędzia. Skinęli głowami. - Wygląda na to, że możesz wybrać sobie męża, Wynne.

- Mam już jednego.

- Jake rozwiódł się z Wynne i to jest niezaprzeczalny fakt - odezwał się Asa Blue. - Wszyscy znamy tego człowieka i wiemy, po co się ożenił. Pani Marsh twierdzi, że Wynne nie poradzi sobie bez pracy i bez męża. Wydaje mi się, że jeśli zapewnimy Wynne, czego jej trzeba, nie będzie problemu.

W sali rozległ się szmer aprobaty.

- Belle i ja zapewnimy jej pracę. Co do domu, wynajmiemy jej coś, zanim nie wybierze sobie nowego męża.

- Chwileczkę - zerwała się na nogi pani Marsh. - To jakaś farsa.

- Jak to? - zdziwił się sędzia Graydon. - Usiłujemy jedynie rozwiązać postawione przez panią problemy.

- Tylko że Jake i ja wciąż jesteśmy małżeństwem. - Wynne rozejrzała się po sali. Z wyjątkiem Randolfa, wszyscy spoglądali na nią z politowaniem. - Macie rację - odezwała się wreszcie. - Po wysłuchaniu tego wszystkiego, nie pozostaje wiele miejsca na wątpliwości. Istnieje taka możliwość, że Jake zamierza się ze mną rozwieść, ale...

W progu sali sądowej stał Jake i w ostatniej chwili przytrzymał jakąś kobietę, która koniecznie chciała się odezwać.

- Daj jej skończyć.

- Ale...

- Przynajmniej raz w życiu się zamknij.

Wynne opuściła głowę, jakby zastanawiała się, co ma powiedzieć. Trwała tak dłuższą chwilę.

- Dla wszystkich was jest oczywiste, że Jake zamierza się ze mną rozwieść - powiedziała w końcu. - Ja w to nie wierzę. Mylicie się wszyscy. Myślę, że Jake mnie kocha i wie, że ja go kocham. Dlatego, dopóki nie przedstawi mi papierów rozwodowych, muszę odrzucić wasze wspaniałomyślne oferty.

Jake tylko to chciał usłyszeć. Podeszedł prosto do Wynne, nie oglądając się na nikogo. Padli sobie w ramiona.

- Kocham cię - wyszeptał jej do ucha - i przysięgam, że nigdy nie dam ci w to wątpić.

- Przepraszam - odezwała się ostrym głosem pani Marsh. - Może wrócimy do sprawy?

Jake odwrócił się, odgradzając sobą Wynne od smoczycy.

- Jasne. Niech mi ktoś powie, co się tu wyrabia.

- Wybieramy męża dla twojej żony - odezwał się ktoś z głębi sali.

- Moja żona już ma męża i nie potrzebuje innego.

- Co? - zaperzyła się Kitty Marsh. - Zgodnie z umową miałeś się rozwieść.

- Z jaką umową? - spytał sędzieja Graydon.

Kitty zbladła, rozumiejąc, że się wygadała.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Podejrzewam, że nawet bardzo. - Sędzia zmarszczył gniewnie brwi. - Wrócimy do tego później. Jake, zechcesz odpowiedzieć na parę pytań?

- Proszę uprzejmie. - Jake skrzyżował ramiona na piersi.

- Krążą tu plotki o twoim rozwodzie. Czy mógłbyś to wyjaśnić?

- Jaki rozwód? Kto, u diabła, mówi o moim rozwodzie?

Sędzia zmierzył surowym wzrokiem panią Marsh.

- Słyszeliśmy plotki, że wyjechałeś do Meksyku.

- Byłem w Nevadzie, bo chciałem przywieźć żonie kilka prezentów.

- I to zajęło ci aż pięć dni? - zdumiał się sędzia.

- Nigdzie indziej nie mogłem ich dostać. - Podał Wynne małe pudełeczko od jubilera. - To bardzo ważne prezenty.

- Mogę otworzyć? - spytała Wynne.

- Śmiało, elfie - uśmiechnął się Jake.

Wynne rozerwała papier i powoli podniosła czerwone aksamitne wieczko. Wewnątrz znajdowała się para obrączek ślubnych o niespotykanym wzorze.

- Och, Jake - szepnęła Wynne.
- Czy wiesz, z czego są zrobione?

Skinęła głową.

- Z biletu na Bal Kopciuszka.

- Druga jest dla mnie. Nie zgub swojej tym razem. Z trudem przekonałem Henriettę i Donalda Montague, żeby odstąpili mi jeden ze swych drogocennych biletów. To jednak jeszcze nie wszystko.

- Wyjął znajomą, białą aksamitną sakiewkę. Wewnątrz tkwiły dwa bilety na Bal Rocznicowy. - Czy ktoś chce zakwestionować legalność mojego związku małżeńskiego? Jeśli tak, chętnie pogadam z nim na osobności.

- To jeszcze nie wszystko. Mam na względzie bezpieczeństwo moich bratanków. Pan Hondo jest nieobliczalnym człowiekiem, czego dowodem jest złamana ręka. Pewnie w bójkę.

- Jak ją złamałeś, Jake?

- Szukając obrączki Wynne.

- Jak to?

- Wpadła jej do zlewu. Wynne bardzo na niej zależało, płakała, nie mogłem stać bezczynnie.

- Podzielałam twoje zdanie, jak również pochwalam wyjazd do Nevady. To właściwie kończy sprawę i...

- Ależ, Wysoki Sądzie... - zaczęła pani Marsh.

- Proszę mi nie przerywać. Dam pani dobrą radę. Może pani wystąpić przeciwko tym ludziom na drodze prawnej, ale nie radzę. Dołożę wówczas wszelkich starań, by wyświetlić, o co chodziło w tej tajemniczej umowie, którą chciała pani zawrzeć z panem Hondo. Życzę miłego pobytu w Teksasie i mam nadzieję, że będzie bardzo krótki.

Sala oszalała z radości.

- Kocham cię, bardziej niż przypuszczasz - powiedział Jake.

- Inaczej nie przywiózłbym jej ze sobą.

Wynne obejrzała się.

- Laura! Co tu robisz?

- Twój mąż był bardzo przekonujący i postanowiłam dać teksańczykom jeszcze jedną szansę.

Ludzie zaczęli składać im gratulacje. Jednak Jake podał rękę tylko jednemu człowiekowi.

- Dziękuję za obronę, kuzynie.

- Rodzina powinna trzymać się razem - wzruszył ramionami Randolph.

- W takim razie musisz z Evie spędzić u nas Święto Dziękczynienia - uśmiechnął się Jake.

Ostatni demon został pokonany.

Wynne popatrzyła na gości zebranych na Święto Dziękczynienia i pomyślała sobie, że trudno o lepszą nazwę i okazję.

Jake przerwał na chwilę rozmowę z Randolfem i uniósł kieliszek.

- Chcę wznieść toast - rzekł, spoglądając na Wynne. - Zawsze będę wdzięczny losowi za ciebie, elfie.

- Ja z kolei za Jake'a - odezwał się Randolph - i za to, że nasze niesnaski wreszcie się zakończyły.

- Jest szczęśliwy, bo kupił piękną posiadłość nad rzeką - wyjaśniła Evie. - Też się z tego cieszę.

Laura podniosła kieliszek i spojrzała cielecym wzrokiem na Petera Bryanta.

- Piję za to, że teksańczycy okazali się lepsi, niż mi się do tej pory zdawało.

- W takim razie - rzekł rozanielony Peter - wdzięczny jestem za to, co mówi Laura.

Buster oburącz złapał za szklanekę z mlekiem.

- Jestem wdzięczny, że Jake pokonał naszego smoka.

Wszyscy popatrzyli na Chicka. Wynne pomodliła się w duchu.

Malec powoli wyjął kciuk z buzi.

- Ja jestem wdzięczny, że znów mówię - powiedział piskliwym głosem.

Kiedy umilkł śmiech, Jake popatrzył na Wynne.

- A ty, za co jesteś wdzięczna?

Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Za to, że ten dom ma dziecięcy pokój.

Siedem par oczu wyrażało różne stopnie zdumienia.

- Czy to znaczy... - zaczął Jake.

scandalous

Jeśli spodobała się Wam powieść Day Leclaire z cyklu „Bal Kopciuszka”, następną książkę z tej serii kupicie już w sierpniu br. Ukażę się pt. „Nie ma tego złego...”.